



Cena 80 groszy

WIADOMOŚCI LITERACKIE

T Y G O D N I K

Nr. 26 (182)

Warszawa, Niedziela 26 czerwca 1927 r.

Rok IV

Oddział

„Wiadomości Literackie”

w Paryżu, 123, boul. St.
Germain, Księgarnia
Gebethnera i WolffaCena numeru w Paryżu
zł. 1.—

MARJA DĄBROWSKA

ZDRÓJ NIEPRZEBRANY

„I z prochem flota wyruszy
i do ojczyzny popłynie”
(„Książę niezłomny”)

Juliusz Słowacki wyszedł z domu świętego pod względem umysłowym, a żadnego, nawet skarlałego, pod względem charakterów. Jego nazbyt przedłużone dzieciństwo i jego młodość były przepełnione ułomnościami i słabościami jak najbardziej godnymi pożałowania.

Matka, jedyna kobieta, którą entuzjastycznie kochał, ta, do której pisał: „Sally moja...”, „w matkę bym się Tobie zamienił...”, „byłaś mi matką, a będziesz siostrą na wieki, a może córką...”, ta, której czuł się zaiste synem i bratem, ojcem i matką jednocześnie, obdarzyła go właśnie tym wszystkim, co stanowił będzie słabe strony jego życia. Była dobrą kobietą, ale prócz tego dość powszechną w tamtych czasach postacią damy, która do pustki wewnętrznej dodawała coraz to inne podniety życia towarzyskiego i literackiego, jak jednoci do zera, aby mu przydać znaczenia. W jej rozbawionym, oderwanym od wszelkiej społeczności domu wszystko sprzyjało, aby w chłopcu Juliuszu rozwinąć nieistotne wartości życia: melancholję — zamiast „prostej boleści”, czucie nerwami — zamiast miłości sercem, czczą fantazję — zamiast umiłowania cudów rzeczywistości, przepelniających najmniejszych okrucich życia, pychę — zamiast godności, ambicję — zamiast twórczej pokory.

Nie przeskoczyło to rozkwitaniu w twórczości. Z dzieła tego źle wychowanego panicza już od pierwszych jego utworów bije w nas poezja bez granic, bez zastrzeżeń, ta, która przekonywała nawet nie mając racji, pocieszała nawet, gdy płacze, zachęcała nawet wtedy, gdy szczydzi.

I jeżeli zostało po Juliuszu Słowackim tylko to, co napisał, gdy jeszcze stał na świecie, „jak puste kłosa z podniesioną głową”, byłby już wielkim, najczarowniejszym poetą, wielkim i godnym pościć śród hołdów w ziemi swych ojców.

Lecz ku większemu naszemu szczęściu stał się on oprócz tego wielkim człowiekiem, nie odrazu. Dzieje tego przeobrażenia — to najbardziej wzruszający dramat człowieczego sumienia. Słowackiemu z tych czasów chciałoby się z żalnością położyć rękę na niespokojnym ramieniu i pokochać go z tliwą pokorą, z jaką się kocha tych, którzy w prawdziwej niedoli serca błagają się naoslep, szukając pocieszenia.

Lecz o ile wielkie było błaganie, o tyle triumfalna była odnaleziona droga. Stał się na niej, Słowacki wydał nieubłagany wyrok na swoją przeszłość. Powiedział o niej surowymi słowami: „ja w dzieciństwie kształciłem się tak, abym nie był podobny do ludzi...”, „przywykłem nie do kochania, ale do lubienia czegoś na świecie...”, „to daleko gorzej być tak jak ja, który przez tyle lat nie umiałem się dla nikogo poświęcić, ani po nikim prawdziwie płakać...”.

Z tych wszystkich złych rzeczy, o które się oskarża nie tylko w listach, lecz także i w poezji, z „nędzy serca”, z chorobliwej miłości własnej, ze strachu przed życiem, z braku odpowiedzialności — zaczął budować nowego siebie. Zrazu przagnął tylko stać się „podobny do człowieka”. Lecz jakby potwierdzając te niedorzeczne prawdy, że wielkość wyrasta często z jakiegoś braku, że skazy, że narasta w nas niby zadosyuczynienie za ten brak, — stał się rok po roku coraz to większy. Aż na koniec objawił się nam jako *wielki przemieniony*, jako czarowna postać moralna, najgłębszy nauczyciel życia, tak samo wielki jak Mickiewicz, chociaż w tej roli wcale niedoceniony — a może nawet od Mickiewicza szerszy, bardziej ogólnoludzki w rozwinieciu metafizycznego poglądu na świat.

Metafizyka, w której się wyraziła wielka przemiana Słowackiego, zajmuje zwykle badaczy od strony teoretycznej. Ma ona jednak w sobie olbrzymią wartość życiową. Zależna początkowo od myśli Andrzeja Towiańskiego, odbiła się od niej bardzo daleko, i gdy tamta bałamutna nauka jest już martwą literą, tu mamy do czynienia z pałaniem wieczyste żywej prawdy. Z metafizycznej wiedzy Juliusza Słowackiego bije żar, ciepło, światło, szeroki oddech i miłość życia, jakie znajdujemy chyba tylko w przepaści mądrości jogów. Biję z niej zaprzeczenie tym nieznosnym konwenansom myślenia, które, mając zawsze na uwadze pierwszy etap romantyzmu, chcą widzieć romantyków odwróconymi od życia, wynoszą-

cymi nieprawnie jednostkę ponad ogół, szerszymi bezsilne niezadowolenie. Dzięki doświadczeniu metafizycznemu Juliusz Słowacki z nadanego dziecka staje się mężem promienistym, z dumnego s.ydercy — pokornym miłośnikiem człowieka, z tęczego fantasty — wielbicielem życia w całej jego konkretnej rzeczywistości. To prawda, że i w tym nawet okresie dają się uczuć tu i owdzie odruchy dawnej pychy, przybierając postać metafizycznej pozy. Pod ich wpływem Słowacki nie będzie chciał chodzić „na obiad do traktjerów”, aby „swojemu duchowi nie ubliżyć”, i będzie się zameczał sztywnym pocuciem misji, które zawsze utrudnia wszelką misję. Są to jednak już tylko wątle piętna cieniów, z których wynurzył się na niegasnące światło.

Światło to sprawi, że ów, który mówił o sobie: „Dusza moja pełna była skarbów Bożych, lecz nie było w niej miłości, i dlatego sama jadła wewnętrzności swoje, nie mogąc skądinąd mieć pokarmu”, wyciągnie teraz ramiona swe do ludzi. Najpierw będzie to niewyraźne: „nie wiem dlaczego, ale żal mi było ludzi”. Potem zaś powie bez ogródek: „Muszą być tacy, co zapomnieli o sobie, a wtenczas będą silni i niepokonani. Egoizm tylko dusz rozdziela je na wieki...” a uczuwszy swoją łączność z ludźmi, wyrazi to słownie, na wieki wieczne prawdziwymi słowami: „Proś Boga za ludźmi, nie za mną, a za mną tak jak za ludźmi, nie rozłączaj mnie w niczem z ich losem, bo jam jest we wszystkim, co dzieje się w świecie”.

Co więcej, ten, który się piewił od wiecznie szalejącej w jego sercu ambicji i żądz sławy, zapyta teraz skromnie: „Czy ty myślisz, że ja przez miłość własną mogę być szczęśliwy?...” A gdy dawniej powiedział: „ciągle układam kamyczki na własny gróbowiec, a życie puszczam mimo siebie...” — teraz nadwórt wyzna: „iż nie na to jesteśmy na ziemi, abyśmy szukali próżnej uciechy i posągów przyszłości... ale... dla pracy prostej i czystej, i dla spełnienia tego, co nam jest polecane...”; wyzna to i ostrzeże: „Bieda tym, którzy zasmakują w błędnym życiu na świecie i przywykną do nadziei znalezienia czegoś dobrego na końcu wędrówki. W oczekiwaniu takim wszystkim terazniejsze niesmaczne”.

To terazniejsze i powszednie chce teraz kochać, chce się nim przejąć, zrozumieć je i przetworzyć. On, którego bawili fantazje, mgły i tęcze, teraz głosi zespolecie się ze światem realnym, teraz dopiero znajduje do tego świata podejście. „Mało jest ludzi, — napisze o tem, — aby się chcieli duchem przemienić, myślą bowiem, że to chodzi o porzucenie świata i jego przyjemności, gdy tu przeciwnie my zdobywamy świat, i żadne uczucie światowe nie rozminie się z naszym sercem, i żadna miłość w nas nie gaśnie, niczego się nie wypieramy”.

Obojętny dotychczas na zagadnienia praktyczne, napisze teraz: „życie ziemskie, jako podstawa życia duchowego i jako narzędzie wolności zajmuje mnie...” i będzie wypowiedział z ogniem swoje poglądy na konkretne zagadnienia społeczne i gospodarcze. Wynurzenia te, zgodne z jego znaną demokratyczną i rewolucyjną postawą, odzwierciedlają nadto mało znany wpływ świeżego wówczas kapitalistycznego liberalizmu — naturalnie w swoim etapie przeobrażenia.

Jest w nich jednak coś jeszcze oprócz tego. Coś, co obudza zaufanie do słów, jakiegoś było dawniej uważać za poetyczny frazes. Obecnie tętni w każdym zdaniu ciężko zdobyte pocucie odpowiedzialności — i wszystkiemu nadaje ton. Gdy inaczej brzmią słowa, za które mi jest pustka, a inaczej te, za które stoi czujące sumienie. O rozmiarach i charakterze tej przemiany świadczy też fakt, że jedyne w fizycznym znaczeniu swojego czynu, mianowicie akcesu do powstania w 1848 r., dokonał Słowacki w swym okresie mistycznym.

Obraz będzie zupełny, gdy dodam, że ten, który zamlodu stracił „nawet nadzieję, żeby być kiedy szczęśliwym”, teraz — śmiertelnie chory i opuszczony — pisać będzie: „Nie wiem, czy kto jest w głębi duszy szczęśliwszy ode mnie”, „bo szczęście — to ruch twórczy ducha i wywieranie miłości na zewnątrz”.

Takiego to wielkiego przemienionego prochy wracamy dziś ojczyźnie. Pochylamy się nad nim z czcią, należną tym, co wielkość osiągnęli na drodze najtrudniejszej, na drodze borykania się o zwycięstwo ducha nie już z ludźmi, ale z samym sobą.

Metafizyczne przesvědzenia, które zostały w tej walce osiągnięte, nie utraciły do dzisiaj władzy przeobrażania serc — kto wie, czy nie są nam dziś bliższe niż kiedykolwiek. Zawierają wiele pokrewieństw z tęsknotą współczesnego pokolenia, które żywej religii szuka nie tylko pod kolumnadą kościołów, ile w spienionym nurcie wydarzeń.

Tak to ze złego ucznia życia Juliusz Słowacki przeistoczył się w dobrego nauczyciela prawdziwego żywota.

Prochem tu wraca, lecz z tego prochu, niby z wyschniętej skały, ciecie wciąż w nasze serca źródło nieprzebrany bezgranicznej piękności i wiekistej pociechy.

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER

Na sprowadzenie zwłok Słowackiego

*Duchu, zstąpiłeś do nas, w skrzydła malowane
Na ramionach promienny, kiedy my pod ścianę
Domu kryli się, głowę zwieszając ponurą,
Pod bagietem wytkniętym i pod armat rurą;
Wtem Twa ręka rycerska Twój miecz krzyżowcowy
Podwignęła, i ugięły się nasze okowy.
Gdy nad mgłą obszarą płonący Chrystus
Znak błysnął, i skry z białego obrusa
Martwoży naszej poszły w oczy zapłakane,
Gdyśmy, płacząc niewolę, pod domową ścianę
Kryli się. Tak przez róże i zielone liście
Tęczy Twój miecz bojowy czerwieniał ogniście,
Aż niebo zagorzało nad dachem, i lata,
Podziemnym buntem czarna, wydzwaniała krata,
A rozkaz Twój, poeto, łanów polskich fala
Płynął, ramiona dawną okuwając stala,
Nad spiz trwalszy stawiając pomnik Twojej wiary.
To gniew Twój rozdał nowych legionów sztandary,
I Twój duch ponał w krwi przelewanej czarze,
Aż się Twe białe widmo nakoniec ukaże
I w oczy Ci popatrzy wnuk Achillesowy.
Jakoś go wołał, krzykiem zrywając okowy,
W Aresa hełmie z pięścią żylastą wzniesioną
Nad ze skroni Warszawy upadła korona.*

*Na zielonego weza podłą, zgnitła małość
Spójrz, proroku wielkości, i weź w serce żalność,
Ryccerzu Boży, nasza, gdy jad wściekły ścianę,
Którą Twe niegdyś cmiły skrzydła malowane,
Podgryza, truje studnię i zatrzuwa serca,
Na nowe lata, czujny, zacięty morderca,
Gdy Ty po latach wielu i wypadkach wielu
Przychodzisz, złota jasność mający na celu
I proporce wiejące po koronach drzewa,
W których ptak hymn zwycięstwa narodowi śpiewa.*

*Nie znamy innej doli,
Jeno którąś nakazał,
Kiedys nam stygmat światła
Po czole palcem mazał.
Nie znamy innej doli,
Jak Twa prawdziwą wiarę,
Ani drogi nie znamy
Nad Twoje drogi stare;
Ani miłości innej
Nad Twoją ponad nami,
Ani modlić się znamy,
Jak Twojemi słowami;
Pomóż więc, polski Boże,
Serc twarzą chować postać
I pod Twa twarzą zbroją
Na miejscu nogą zostać;
Abymy śnać nie padli,
Zabici trutym jadem,
Ni stali się spłoszonem,
Uciekającym stadem,
Ale koronę, którą
Podajesz w swojej ręce,
Wzieli, jak wielkie, nowe,
Przeniosłe wyzwolenie.*

MANFRED KRIDL

JULJUSZ SŁOWACKI A CHWIŁA OBECNA

Zdanie o przeżyciu się romantyzmu stało się dzisiaj już prowie komunałem. Rozmaici ludzie dla najrozmaitszych celów powtarzają aż do znudzenia, że ponieważ mamy już własne państwo, zdołaliśmy niepodległość i jesteśmy „wolni” — więc poezję „niewoli” i heroizmu niewolników możemy odłożyć do lamusa pamiętek albo przynajmniej poddać ją gruntownej rewizji. Oczywiście przeciwko rewizji nikt nic mieć nie może, i dokonywa jej niemal każde pokolenie w stonku nie tylko do romantyzmu, ale i do innych prądów kulturalnych. Chodzi tylko o to, żeby się przy tej rewizji nie oszukiwać, nie zakłamywać i nie upajać fraze-

sami. A frazesów płytych tu mnóstwo na każdym kroku. Frazesem jest przede wszystkim, jakoby nasza poezja romantyczna była *poezją niewoli*. Cóż bowiem oznacza to określenie? Pewne cechy zewnętrzne, pewne konieczności historyczne, narzucone naszym poetom (służba narodowi), pewne ich wielkie i wzniosłe iluzje (mesjanizm). Ale przecież nie w tem ich istota, nie w tem ich wartości *wieczne*, ogólnoludzkie. Przecież są to przedewszystkiem wielcy artyści, wielkie *charaktery*, wielkie *umysły*. Niewolę właśnie twórczość ich *przewycięła*, wychowuje do wolności, głęboko i wzniosło pojętej (nie tylko do „własnego państwa” bylejakiego i niepodległości zewnętrznej) — obraca się około koncepcji *człowieka wiecznego*, a nie tylko człowieka swojej epoki. Tem somem, obok kwestyj aktualnych tylko dla owej epoki, porusza kwestje aktualne zawsze, wczoraj, dziś i jutro, dopóki istnieje człowiek, narody i ludzkość.

My się dziś upajamy tem, że jesteśmy „wolni”, że więc potrzeba nam innej, „wolnej” strony duchowej. Słusznie podniesiono niedawno, podczas pewnej dyskusji nad „aktualnością” Wyspiańskiego, że nad tą naszą wolnością należałoby się głębiej zastanowić, może przeprowadzić również jej „rewizję” — że obok tragizmu niewoli, może istnieć także tragizm wolności i może my nim jesteśmy obarczeni?

Pominawszy jednak to zagadnienie, warto zapytać, czy psychika człowieka „niewolnego” i „wolnego” jest tak z gruntu różna, że nie ma pomiędzy nimi nic wspólnego? Czy człowiek mający własne państwo zwolniony jest od rozstrzygnięcia pewnych zagadnień wewnętrznych i zewnętrznych, które stają przed *człowiekiem wogóle*, zawsze i wszędzie? Czy nie tak samo kocha, nienawidzi, zdradza, oszukuje, kłamie, cierpi, pracuje, poświęca się, ulega iluzjom, stawia sobie pewne programy i ideały, męczy się nad rozwiązaniem różnych zagadnień, określa swój stosunek do siebie i do otoczenia? I czy u wielkich artystów, charakterów i umysłów niedalekiej stosunkowo epoki nie może znaleźć pomocy, otuchy, ostrzeżeń, nie mówiąc już o podniesieniu duchowem przy obcowaniu z nimi?

Spróbujmy na to pytanie odpowiedzieć ograniczając się do Słowackiego. Jako pierwsza wartość wieczna nasuwa się tu z natury rzeczy jego *artyzm*, jego sztuka. Choć i co do tego podniesiono w ostatnich czasach wątpliwości i zastrzeżenia — sądzić można z wszelką pewnością, że mało jest dziś ludzi kulturalnych w Polsce, którzyby nie ulegli czarowi jego poezji, gdyby tylko *chcieli* się w nią włączyć. Nie jest to tylko kwestja subiektywnych odczuć. Można bowiem wykazać zupełnie obiektywnie, że sztuka Słowackiego ma znaczenie wprost *rewolucyjne* dla swojej epoki, że jest szczytem romantyzmu, a równocześnie jego *przewycięciem*, że sięga głęboko w przyszłość, jest *prekursorką modernizmu* w tworzeniu nowych walorów ekspresji, w odkrywaniu nowych światów nowych skojarzeń dźwięku, barwy i kształtu. Wykazał to chyba dość przekonująco Matuszewski.

Czy sztuka ta jest również *rewelacją* dla doby dzisiejszej? Doba ta nie posiada wyraźnej, określonej fizjonomii. Scierają się w niej najrozmaitsze, często sprzeczne z sobą dążenia i kierunki. Ale wśród tych kierunków są takie, które świadomie nawiązują do romantyzmu lub nieświadomie zawierają zasadnicze jego cechy (ekspresjonizm, dadaizm, nadrealizm, teorie „poezji czystej”). Dla tych prądów Słowacki — jeden z najbardziej typowych i skończonych romantyków — może być heroldem i rewelatorem, tak samo jak był nim dla modernizmu i „Młodej Polski”.

Weźmy dalej *stosunek* Słowackiego do sztuki. Jest on w naszej literaturze jednym z najbardziej niezależnych, samodzielnych i świadomych *artystów*; przechodzi rozmaite zwątpienia, niewiary, załamania się i upadki, ale jednej wiary nie traci nigdy: wiary w swoją wartość jako poety, w wartość swojej sztuki, w swoje poświęcenie, któremu nie może być nic innego, tylko twórczość. Wiemy, jak walczył o to swoje prawo z zacołanem pod tym względem społeczeństwem i ile się przyczynił do zrozumienia przez potomnych dopiero i dzisiejszych ludzi wartości absolutnej i siły przetwarzającej poezji. Bo wszak nie śpiewał tylko o sobie, lecz chciał, by lutnia jego brzmiała wszystkim tonami człowieka, narodu, ludów i ludzkości!

O ile poezja Słowackiego jest „zwierciadłem świata”? W epoce przedmystycznej swojej twórczości zajmuje się z pasją psychiką swego pokolenia i zgłębianiem psychiki polskiej w ogólności. Rezultaty są zadziwiające przenikliwością, głębią, wystrzonym krytycyzmem. Wystarczy wskazać „Kordjana”, „Anhellego”, „Grób Agamemnona”, „Lillę Wenedę”, „Beniowskiego”. Wiemy, jak w tych utworach przedstawia się Polska dawna i współczesna pocie. Obraz niewątpliwie *prawdziwy i obiektywny*, zadziwiająco bezstronny w epoce poczynających się mesjanizmów i pedagogicznych, usprawiedliwionych, ale fałszywego dociągania narodu współczesnego do jego przyszych zadań. Postawmy te dzieła przed naszą dzisiejszą współczesnością. Czy nie ujrzą w nich swoich konterfektów współczesne Kordjany polityczne i poetyckie, deklamujące, szukające „idei” po całym świecie, trochę zakłamanie wewnętrznie (ale mniej subtelne i mniej rycerskie), współczesne Gaby Skiry, Skartabelle i Bonifaty, współczesne „czerepy rubaszne” (bardziej tylko ordynarne, niż ich przodkowie). Lechici tępi i dufni w siebie, cały świat głupch a złośliwych krytyków i recenzentów, żądających poezji „narodowej”, polityków i zbawców narodu, nadętych wielkości, pustych głów — cała ta atmosfera obłąd, kłamstwa i nieszczerości, przedstawiona w „Beniowskim”? Sprawy to bardziej aktualne, niż się może wydawać. A wśród tego wszystkiego jasna i ostra „jak stal, myśl poety i jego zbolale serce. A wśród tego wszystkiego jego tęsknota do wielkości, szerokiego oddechu, piękna, siły, czystości i prawdy.

Mistyka Słowackiego — to znowu kamień obrazy dla ludzi nowoczesnych, „trzęsawych”, deklamujących o „twardości”, konkretnej pracy budowania — i tak dalej. Ale przecież nie chodzi tutaj o prawdziwe obiektywną jego systematę mistycznego (zresztą gdzie jest owa prawda?), o wiarę w jego wierzenia i rojenia (czyż wierzymy dzisiaj w Spinozę, Hegla i Schellinga?) — ale o te wartości ogólne, które dzisiaj jeszcze znaleźć możemy i przypuszczalnie zawsze znaleźć będzie można w jego twórczości z epoki mistycznej. Otóż stwierdzić należy, że „dzieło filozoficzne” Słowackiego nie jest wcale gorszą od innych „uznanych” (a od wielu innych piękniejszą) próbą wyjaśnienia „zagadki bytu” — jest wspaniałą projekcją systemu ogarniającego wszechświat. System to logiczny, konsekwentny, przemysłany do najdrobniejszych szczegółów — arcydzieło konstruktywnej myśli. Już sam ten ład i ta harmonia — to ideał i wzór dla dzisiejszych roztrzęsionych czasów. A teoria: „wszystko przez ducha i dla ducha” — czyż nie jest, czyż nie powinna być sztafndarem dla chwili obecnej, której zagraża przewaga najgrubszej, najpospolitszej „cielesności”, stawiającej nie jako *środek* (co jest racjonalne), ale jako *cel* — zdrowie fizyczne i sporty?

A przepięknie z ogólnych założeń metafizycznych wyprowadzone teorie *ofiary*, *braterstwa* i *solidarności duchów*, *narodowości* i *ludzkości nowego chrześcijaństwa*, a przedewszystkiem *ducha-rewolucjonisty*! A śmiałe patrzyenie w twarz ruchom i przewrotom społecznym, uznawanie ich konieczności i zbawiennej mocy — gdyż największym grzechem *zalenienia* w skrzepłych i martwych formach życia! Czyż to miałyby być idee przebrzmiałe i pozabawione treści na dzisiaj? Zobaczymy jeszcze, jak ten indywidualista i mistyk staje się — żeby użyć modnego dziś wyrażenia — *uniwersalistą* w ostatniej epoce swej twórczości, jak rozszerza swą duszę i przyjmuje w nią cały naród, jak wciela się w jego przeszłość, jak ją *przeżywa ośobście*, jak włącza się w jaźń narodu, jak chce ją przeniknąć, wydobyć z mroków, jak się w niej rozpaja i z nią utożsamia! Mówi o tem „Król-Duch”.

Słowacki jako człowiek, *jak charakter* wywoływał również zarzuty. Znikną one, gdy postawi się pytanie, czy miał on *prawo* być dumny, wyniosły, pogardliwie traktujący wszelką małość, czy miał prawo żądać posłuchu dla swej poezji i szacunku dla niej. To nie pycha ani donkichoteria — lecz pocucie własnej wartości, honor rycerza „napowietrznej walki”. Rycerza, którego w ostatniej epoce jego życia opromienia aureola zakonnej niemal surowości i świętości w oddaniu się dziełu swego życia. Czy i te znamiona mają należeć już tylko do „historji”?

Słowacki jest duchem żywym i żywym pozostanie.

ADOLF NOWACZYŃSKI

I G N I S A R D E N S

Prawdę mówiąc szczerze, można było jeszcze dwa lata przeczekać i tak gdzieś z wiosną, może i trzeciego kwietnia 1929 r., przy dusz gromadzkich innym nastrojeniu ziemską resztkę do ojczyzny przewieźć, no i gdzieindziej, w Kordjanowej katedrze złożyć. Ale stało się, i może dobrze się stało. W ten sposób my inaugurujemy obchodzenie stulecia romantyzmu wielkim narodowym uroczystym pogrzebem. Może z okazji tego żałobnego święta powstanie znów z martwicy w świadomości inteligencji cały ten świat przedziwny romantycznej ery, z jej wielkimi i świętymi, z jej wichurami myślowymi, głębinami dociekań, z dostojnością żywotów i patosem pocślanictwa poezji. Wywrze to może swój głęboki dobroczynny wpływ i na dzisiejsze piśmiennictwo, które z dnia na dzień staje się antypodą romantyzmu, służalstwem dnia i mas, pracą mrówek dla mrówek, słowem — szare, nijakie, przemijające.

Był czas przed wojną europejską, że dewocje romantyczna należało zwalczać, a kwiaty kultu wyrwać wraz z innymi chwastami. Lekarstwo, które przez cały wiek podtrzymywało żywot narodu w letargu, z biegiem dziesiątków lat sfermentowało i okazało się szkodliwe, infekowało pogardę doczesności i pieszczęnie się ino snami. Romantyzm polski bowiem był nietylko podmiotowym zjawiskiem piśmiennictwa, ale i przedmiotowym czynnikiem dziejowym. I rzędem dusz i mózgów. W tym charakterze wyjątkowym miał olbrzymie zasługi w historycznym okresie dwóch generacji; dla ideowego podtrzymania trzeciego pokolenia okazał się już za słaby, tem bardziej, że dla tego pokolenia wydobywano z niego już wyłącznie wartości metafizyczne i mistyczne, luksusowe, dla elity. Romantyzmowi jako światopoglądowi należało się ze względów pedagogiczno-utilitynych przeciwstawiać. We Francji przeprowadziło ten proces kilku znakomitych myślicieli, z Lasserrem, Seillierem i Lemaître'm na czele, w Niemczech — Dühring, Wulffen i inni. U nas podjął się tej walki Wyspiański i stoczył ją na tem polu chwały, gdzie Wielka Trójca na jakiś czas zapanowała, t. j. w teatrze. I stoczył zwycięsko.

Dziś, gdy Polskę rzeczywiście budują już „realni świata cieśle”, romantyzmowi można na nowo otworzyć drzwi na oścież, ba — nawet trzeba, ba — nawet należy, przyspieszyć to „świętym obcowanie”. Niema już żadnych możliwości, żeby w rozwoju politycznej myśli miał do odegrania taką rolę jaką w w. XIX. Natomiast w dziedzinie twórczości i w gospodarce ducha nawrócił romantyzmu byłby we wszechmiar znów pożądanym. Znadto już bowiem i za głęboko zaryliśmy się w doczesności i tylko doczesności. Niema już i nie pisze się książek, któreby odrywały od ciągłej i ustawicznej rzeczywistości. Niema już fundamentu niebieskiego nad dzisiejszą poezją, ani tęsknot i niepokojów metafizycznych, ani kontemplacji nad kwestjami „finalnymi”, ani świętego zapadu do osiągnięcia tego co nieosiągalne, ani zagłębiania się w zagadnienia i tajemnice bytu, ani udręki i cierpienia myślowych, ni wiary ni niewiary. Nec locus ubi Troia romantyzmu fuerit. Ignorabimus. Młodzież się prometeizmu rzekła. Na miejsce światoburczych i biących pięściami w niebo negacyj obowiązuja wszystkich afirmacja. Czy to będzie praesenteizm czy urbanizm, uniwersalizm czy regionalizm, — wszystko jest kolektywne, stadowe, przyziemne. Twórczość z krótkim oddechem. Talenty terminów, zapracowane sensualistyczne, aż już i przykrzy się brać do ręki nowe dzieło i zachwycać nowym drobnoustrojem, jętką-jednodniówką, nie sława nawet, ale sławka dnia powszedniego. Przejadło się to przeżuwanie tylko tego co jest...

Pora tedy wracać od tych nieprzełiczonych „zjadaczów chleba” i wytwórców razowa duchowego do karmazynowych poematów i dramatów. I pora przypomnieć młodzieży w jutro idącej bogów z wielkiego Olimpu. Nie samą bowiem produkcją współczesną niech żyje człowiek w Polsce, ale i tem co zapisane w wielkich księgach wieszczów, eklezjastów i hetmanów słowa. Romantyzm odżyć musi w naszej świadomości wspólnej, o ile nie chcemy szolotnieć, splebeizować się, schamieć, wyzbyć się tego wszystkiego co z nas nabiło naród panów, bo górnice, chmurnie, z pańska myślących.

Puszcza twórcza Słowackiego może stać się najmocniejszym antidotum na despotyzm materialistycznej, utilitystycznej, antyprometejskiej literatury. Ma w sobie bowiem najwięcej materiału wybuchowego, rozsadaającego i niepokojącego. Ale żeby młodej inteligencji znowu podnieść wzrok do góry, trzeba skarbiec romantyzmu odebrać z rąk niepowołanych a zawodowych. Mamy tu na myśli kastę uczonych. Cała wielka scheda naszych druidów i wajdelotów popadła pod zarząd i władztwo belfrów i pedagogów. Żywi ludzie nie mają dostępu, bo zmonopolizowali patronat nad romantyzmem ludzie kałamarna i bibuły, nieprzełiczony legjon rozprawkowiczów i przyczynarzy, seminarzystów i specjalistów, szperaczy i dociekaczy, „beiträgerów” i „haarspalterów”, pedantów i komentatorów, doktorów i biegłych w Piśmie, rzeczoznawców i ekspertów, Buchmanów z Dobrzyńca i buch-mańców, czyli mólów i mutów książkowych. Zwartem, zacisnięciem kołem otaczają sarkofag każdego z wielkich. Z rozprawek i druków wystawili mur papierowych. Sekcja i wiwiskacja, analiza i egzegeza, zawodowa dewocja, banalnym entuzjazmem i głupowatą „obroną” to „Adama” to „Juljusza” przed pseu-

do-wrogami obrzydzili pielgrzymom cały Monsalwacz polskiego romantyzmu. Czerpy belferskie nie mogą pojąć tego, że gorejące intelekty, dobywając się z furją do murów „Grenady”, więcej „przyczyniają” się do galwanizacji romantyzmu od kopy „przyczynkowiczów”, ślęczących i żerujących na spadku po „Adamie” i „Julku”. Gdyby nie było bluźnierców, nie byłoby tem żarliwszych apostołów. Właśnie jest i pora na młoty (malleus) romantycznych wielkości, żeby z rozgromu mógł Feniks odrodzić się z popiołów. Byłe nie było indyferentyzmu i zubożenia, a na tem leć konwencjonalnego, płaskiego, obowiązującego, „rządowego” kultu. Oczywiście mają i swoje zasługi przyczynkowiczowie i Buchmani, ale do pewnych granic i do pewnego czasu. Zbogaćli zasób drobnych, mozaikowych wiadomości i szczegółów biograficznych, bibliograficznych, analitycznych, genetycznych, „rozbiorowych”, buchalteryjnych; natomiast drobniagowosć, pedantyzm, scholastycznymi gmatwaniami i polemikami zdolali setnie o- brzydzić temu czynnikowi, do którego i o-jeza przedewszystkiem winna przemawiać, t. j. młodzieży, samą puszczną, sam obiekt cmawiany, samą świętość, relikwie. To też najwyższy czas jest, żeby patrolat nad kryptą poezji romantycznej odebrać z rąk monografomanów i oddać poetom, entuzjastom, duszom gorejącym, młodzieży i tym, dla których wielka twórczość wielkich nie jest martwą literą, aktami do referatów, zielnikiem, atlasem antropologicznym, kompletem tomów, ale „rewelacją”, ale przeżyciem.

Szczególnie zaś Słowackiego trzeba co prędzej wydobyć ze szponów hemoroidalnych badaczy i pedagogów, polonistów i speców. Swoje zrobili, mogą odejść w spokoju. Ich dewocja i symplistyczne bałwochwalstwo, ich demokracki zlotyzm szczególnie dla ostatniej mistycznej fazy „Juljusza”, jest tem bardziej irytujący, im bardziej to zespolone z rozgadaniem, płytkim i nieudolnym interpretowaniem i komentowaniem tekstów. Nie wymieniamy nazwisk stwierdzić tylko trzeba, że w tej dziedzinie można czytać u nas humorystyczne horrenda, diatryby i filipiki ciężkie od nonsensów i barbarzyństw. Po szczerzych, poważnych, prostych i serdecznych wielbicieliach, Maleckim, Tarnowskim, Chlebowski, Biegeleisen, po głębskich, gorących miłośnikach - myślicielach, Pawlikowskich, Górskich, Jabłonowskim, Lu-tosławskim, Zdziechowskim, po godnym szacunku a fundamentalnie wykstałconym antagoniście Treliaku, nastąpi duża kompania gadułów, Pamfilów i Rzeczników. Tam gdzie oczekiwało się intelektu równorzędnego i suwerennego, nie niewolniczego i prościnikowego, tam na miejsce Brzozowskiego zjawił się płytki i przeto „kultem” nadrabiający Matuszewski i t. p. I stąd ten spór o „bluszczości” u „wielkiego Julka”, na samej tylko powierzchni badań stoczony między beatyfikikatorami i hagiografami z jednej strony a tropicielami i szpiegami wpływów i zapożyczając z drugiej, w którym to sporze obie grupy miały tylko bardzo wątluki zapas i magazyn dowodów i kontrdowodów, obie nie miały pojęcia o istotnym ogromie długów myślowych, zależności, filijacy, przejęć, powtarzań i podobieństw formalnych, funkcjonalnych, konstrukcyjnych, ramowych, obrazowych; obie też strony nie miały żadnego pojęcia o tem, że w tym fenomenalnym wyjątku, jak w drugim jeszcze tylko w światowej literaturze t. j. in casu Szekspira, cała kwestja, tak pobieżnie postawiona i tak bez definitywnych rezultatów przeprowadzona, ma narazie znaczenie tylko anegdotyczne i rekreacyjne.

A tymczasem to sprawa jest pryncypalna, ekspertyzy godna i emocjonująca, ale na szerokim terenie i przez innego kalibru mózgi postawiona i przeprowadzona. Tu zawodowi przyczynkowicze i obiecujące supleny nie wystarczą i rady nie dadzą, tu trzeba większego rzutu i zasięgu myślowego, tu trzeba u-myślowej niezależności i pańskości, a nadto przy całej wnikiwości w dociekanie tliwego, wieloletniego umiłowania tego, z którego my wszyscy, ale nieliczni — wszyscy.

Aby ten „bluszczości” problema raz podnieść w wyższy region dyskusyjny, trzeba przedewszystkiem raz jeszcze szeroko sobie uświadomić tragedję tego w Polsce największego tragedjopisarza, tragiczność tego żywota archańskiego. *Onorate infelicissimo poeta*. Niema, stanowczo niema genialnego twórcy, którego żywot byłby tak wyjątkowo skomplikowaną Gehenną. Wszystko, stanowiąc wszystko złożyło się fatalnie na to, aby życie stało się dlań ogrodem udręceń, różaniem mąk i niedoli, katorgą osamotnienia. Starajmy się zestawiać ważniejsze punkty. Psychofizjologicznie do końca życia nieświadomość, zdaje się tego faktu, że jest produktem somatycznym dwóch ras, skoro Januszewscy (jak stwierdzają poważne źródła) byli frankistami. Jeżeli tak jest istotnie, musiało to wpłynąć na kształtowanie się psychiki nawet geniusza. Dziedziczne zatem „obciążenie” pewnymi niepozbędnymi właściwościami, charakterystycznymi dla nawet bardzo wyjątkowych jednostek, ze skrzyżowania dwóch ras idących. W każdym razie problem to ważki i godny poważnego studjum, gdyż gdyby rasowa promiskucja stwierdzono, wiele kwestyj zagadkowych i niezwykłych dałoby się łatwiej wytłumaczyć i wyjaśnić.

W samem zaranium życia cios po ciosie. Przedwczesna śmierć ojca, matki u-kochanej marjaż z człowiekiem, który — jak się okazało — długie był lata konfidentem moskiewskiego gubernium, Samobójstwo najwierniejszego i najukochańszego przyjaciela w chłopięcym wieku. Pierwsza miłość nieodwzajemniona,

kończąca się małżeństwem ideału z Moskałem. Jak na lata sielskie, anielskie wstęp do życia, introitus straszliwy.

A potem to życie całe. Phtysis, suchoty, w umiarkowanej formie występujące, ale niepozbędne. Wątlwy, niski, niepewny siebie, nieufny, lekliwy, przeczulony, a serce w chorej piersi dumne, nabrzmiewające raz po raz pychą ogromną. Rok 31 i nie wzięcie czynnego w nim udziału (tylko jedna spełniona n. isja dyplomatyczna), a stąd jakby wyrzuty na dnie sumienia kola-tające. A potem tulactwo, podróże, krótkie przyjaźnie, żadnej odwzajemnionej miłości, same rekuzy, niezaznana miłość ziemską, cielesną. I znów problem ważny, godny specjalnego studjum, możeby nawet jakiegoś adepta psychoanalizy Freuda, a u nas stale wstydlwie przemilczany, bo ni uczeni stateczni, ni przyczynkowicze i Buchmani w tej materji „delikatnej” nie mieliby nic do powiedzenia, jako że to domena frywolnych Hoesicków, a nie bakalarskich Janików. Tymczasem erotyczne życie każdego twórcy daje często klucze do otwarcia wielu tajemnic.

Na emigracji rosnące z roku na rok osamotnienie. Nie żył a czytał, nie żył a pisał. Utracenie kontaktu Anteusowego z ziemią ojczystą, utracenie kontaktu z ludźmi, utracenie kontaktu z rzeczywistością. Paryża nie lubi, z Francuzami nie obcuje, francuskiej literatury nie znosi. W Hotelu Lambert nie widziany. Z radykałami polskimi, którzyby go ochotnie akapowali jako „ludowego wieszca”, żyć nie może, bo co on ma wspólnego z takimi wyrzutkami, jak Gurowski, Czyński, Ostrowski, ksiądz Pułaski? Chopin i jego otoczenie Słowackiego nie znoszą. Nie żyje a czyta i pisze. A to, co mu wydaje „mój Eustachy, mój Eustachy”, to przez lata całe jest bagatelizowane. Czytają, ale wzu-szają ramionami „Cierpienia jego i meki serdeczne”. Coraz bardziej „sam wśród ludzi”. Wszędzie mu smutno i zawsze mu jedno. Jedyne refugium: listy do ukochanej matki, wдовie po doktorze Becu... a w tych listach confessions z katorgi chorej, przeczulonej ambicji gigantycznej... plany twórcze i relacje z lektury, ciągłej lektury. Obcowanie z ludźmi coraz rzadsze, zawody ciężkie, przyjaźni literackie przemijające. Protegują go przelotnie tylko ci wielcy, co wielkość jego wygrają przeciw innemu, przeciw... Tamtemu.

Nad tą całą bowiem Gehenną ciąży... On, który mu zaślania cały horyzont. O Nim myśli bez przerwy od rana do nocy. W Jego orbicie kraje, jest księżcem tego słońca. A On? twardy, zacięty, mściwy i nieublagany... „Antagonizm wieszczów”. Kilka piór temu poświęć tomy; ale bezwzględnej oschłej, wertykutowej prawdy nikt nie ośmielił się powiedzieć. Stosunek Mickiewicza do Słowackiego jest antypatyczny, nieludzki, obrażający. Zapewne, iż biedny „gruźlik” nie bez winy, po Konradzie „Kordjan”, a w prologu Mickiewicz dostrzega siebie chyba od pierwszego momentu. A o „Panu Tadeuszu” — „cały Tadeusz jest ubóstwieniem więprzawości życia ludzkiego”. A o Wallenrodzie? „Wallenrodyczność czyli wallenrodizm...”. A potem jeszcze: „Dziś jezuitym jak wam ciebie łamie. Sam go wzkrzesiłeś, widzisz, mój Adamie... Ale ileż razy wzniosłe i pięknie, może zacisniętem, zachrypniętem gardłem, lecz z

niewolniczą omal czią i pokornem uznaniem! A Mickiewicz—mściwy, „zacięty Litwin”, jeszcze przez akolitów podjudzany. Nawet gdy mu już Słowacki przebaczył doktora Becu w „Dziadach”, on mu nigdy nie przebaczył zachwalstwa w zestawieniu się z nim na jednej wyży „jako dwa bogi”. Bóg emigracji ma być jeden, jedyny, samoderżawny. „Wodzostwa” nie dzieli się z nikim. Jeszcze „Anhellego” uznaje, choć jest responsem na „Księgi”, ale reszty? — nigdy. O makulaturze „Dzieciach Wacława” w prelekcjach będzie mówił, „Kordjana” nie wspomni, „świętynia bez Boga!...” A o „Królu-Duchu”, który Słowacki nie zawała się nazwać „alfą i omegą świata, a zatem i ojczyzny”, Mickiewicz odzywa się: „Co wy w tem widzicie, ja czytam i czytam i jak Boga kocham, nic nie rozumiem”. Nic nie rozumie w imię, zdrowego rozsądku”, tego zdrowego rozsądku, którego twórca „Króla-Ducha” nienawidzi do szalu, przepastnie, oblednę. I „Księdza Marka” ma mu za złe że brat Adam za to, że pijaka, karciarza, hulakę Jandołowicza Słowacki, intuicją wiedziony, bez przesadnego traktując respektu. I wszystko, cokolwiek napisze nieszczerzy „gruźlik”, „Pan Litwy” ma mu za złe i za nieudane, pychą byrońską nadęte. Ale gdy brat Adam nań kamieniem, brat Julusz najcudowniejszym piorunem „Beniowskiego”, a w „Zawiszy Czarnym” widzi go jako Jagiellę, a w „Królu-Duchu” daje mu najpiękniejszą poprzednie żywoty Piasta, Chrobrego, św. Stanisława... rapsoda Śwityna - Zorjana. Aż nawet jest już coś niemilego, dysonansowego w tej względności, w tej przebaczalności, w tem ukorzeniu się przed Adamita. Za dużo i za ciągle go widzi. Calkiem niepotrzebnie w u-kryciu i skrytości pisze swoje „Dziad”, swego „Wallenroda”, swego „Pana Tadeusza” i po „Odzie do młodości” konieczne „Ode do wolności”. Calkiem niepotrzebnie także o tem marzy, aby jego książki zbłądziły pod strzechy! („Teogonja”? „Samuel”?). Calkiem niepotrzebnie zadrażniony i obolaty jest ta awersja do Króla Mendoga i boi się, że „Litwin z Litwinem”, „wzema go w paszczę”, i calkiem niepotrzebnie upiera się, że lkwia jest tak piękna „jak Niemen”. Majestat prorocy twórcy „Ksiąg pielgrzymstwa” — „gruźlik” młotał się i ciskał, degradując czasem siebie do roli Arymana buntującego się przeciw Ormuzdowi, ba — nawet Kalibana przeciw Prosperowi, podczas gdy przecież w tym Arielu rozspiewanym było więcej świetlnych promieni, jak w twardym, posepnym, zmarszczonym Litwinie z... „Trybuny Ludów”. I czyż nie więcej było też suwerenności geniuszu w tem dumnym, skazańcem, dobrowolnem odseparowaniu się od potępieńskich swarów i w tem nietscheańskim osamotnieniu szczytowo największego w literaturze świata wizjonera, niż w tem wiecznem Adama otaczaniu się swiłą i dworem Litwinów-pochlebców, „braci”, „guślarzy”, wątaszcy emigranczki, i w tem jego łazęgostwie i w tej politycznej ruchliwości gorączkowej i w tem intrygantwym ideowem, jakie tak druzgocąco np. podpatrzył w Mickiewiczu Zygmunt Krasinski w Rzymie w 48-ym roku? A jednak Słowacki na tego wielkiego człowieka, przepelnionego małostkami, patrzył nie z równego

terenu, ale z... dołu. I to jest najbardziej irytujące w tym „antagonizmie wieszczów”, to Julusza trącanie poddańczością, to czucie się pretendentem, może równoprawnym, ale ciągle ubiegającym się, nie zaś legitymistycznym władcą „Wołynia, Ukrainy, Podola”, pasterzem dusz i mocarzem słów, bezwzględnie i bez dopiero wykazywania swych papierów i wartości równym. Czem się to dzieje, że ten duch wolny, „wieczny rewolucjonista”, tak się swą rebelją przeciw Mickiewiczowi właśnie korzyli i upokarzał? I oto jest znowu problem dla badacza w nielbelskim stylu. Czy to poczucie inferioritatis nie leżało przypadkiem w podświadomości przeczuciu swym rasowej półodrębności? Czy też tkwiło w tej przewadze pierwiastku femalnego w psychofizjologicznym kompleksie Słowackiego, co znowu mogłoby stanowić przedmiot studjum nad naszym wieszcem ze stanowiska doktryny Weininger’a (autora „Ueber die letzten Dingen”).

W każdym razie twórca „Dziadów” na życiu twórcy „Króla-Ducha” zaciężył niepozbędnym, wieloletnim, zmornym ogromem swego niekwestionowanego autorytetu łatwej popularności i umiłowania u redaków (robaków co pełza) i sławy, od momentu, kiedy powiódł do niego głuchy, gorzki do zgonu żal za unięmiertelniającą napiętnowanie w „Dziadach” jego choć ojczyma, ale bądź co bądź męża matki, takiej matki, tak nieszczerzej, zapoznać, dziwnej, innej, ale jakże tem bardziej umiłowanej matki. Najbardziej zaciężył zaś nie potęgą swego słowa, nie obojętnością wzdargliwą (na pogrzeb nawet nie pceszeli), nie podrażnieniem „gruźlika” do gigantomachji i nie żądniem „wpływu”, lecz najgłośniejszym tem, że przez kategoriczny mus przeciwstawiania się i zaprzecstwa Mickiewiczowi Słowacki — Anhel! dał się zepchnąć i uwieść na to stanowisko zbuntowanych archaniołów, ducha, „der stehts verneint”, i siły, „die stehts das Böse schaffit”, na stanowisko Lucyfera wobec Stwórcy... w „kolumnę” tych duchów, która w dziejowości polskiej zaczyna się od Popiela... Bolesława... Samuela...

Zaciężyli na jego gorejącym intelekcie i inni. Ale na osobowości, na człowieczeństwie zaciężył najbardziej Olimpijczyk Mickiewicz, Białorusin Mickiewicz.

Na umiłowosci natomiast zaciężyli wszyscy, literalnie wszyscy. W wielkim we. dle Seilliere’a szpitalu romantycznej literatury pacjentem najprzewlekłej i najnieuleczalnej chorem na t. zw. przez Seilliere’a mimetyzm jest bezspornie nasz największy dramatyista. W swojej „Romantycznej chorobie” znakomity francuski, a w Polsce prześlępnij, uczony badacz i ko ty najbardziej mimetyczny analizuje i prezentuje Stendhala, tego samego, który orzekł sto lat temu, że „nie można pisać żywotów wielkich ludzi, nie pytając przedtem ich doktorów”. Nie można dziś omawiać i owartościowywać jakiegokolwiek romantyczne „nomen magnum”, nie znając rezultatów metod badawczych Seilliere’a i jego szkoły naukowej. W zastosowaniu tych wyników (krytyki romantyzmu jako całości) do Słowackiego dochodzimy do przekonania, że jak Beyle - Stendhal we francuskiej, tak — si parva licet comparare magnis, mutatis mutandis — autor „Marji Stuart” i „Beatrice Cenci”, „Kordjana”, fragmentów „Pana Tadeusza”, „Wallenroda”, „Dziadów” (sic) w polskim romantyzmie jest najwyraźniejszym też archetypem zapadającym na mimetyzm. I tu nawracamy znów do... wpływołgii, tak przez symplistów naszych zbanalizowanej a tak emocjonującej.

Mimetyzm to jest ciąg psychiczny do naśladownictwa. Seilliere wywodzi to od mima (aktor), ale równie dobrze można to wywodzić od... prawa mimicy. Beyle, czując nieprzetrącać pasję do naśladowania (Henri Bulard), dochodził do tego, że w książkach jego wykazano ostatecznie całe partie wcielone z dzieł obcych bezwiednie i bezwinnie. Wchodzi w obręb tego mimetyzmu także dążność do okazania się kimś innym, wyjścia poza siebie. Mimetyzm szerzej pojęty będzie i w przyrodzie (do której romantyzm nawracał) obserwowanem w świecie i roślin i zwierząt inklinowaniem do przypodobniania się, do mocniejszego, oporniejszego, dojrzalszego, rozrosłego, głęboko wkorzenionego. Genjalna jednostka twórcza o hipertrofji wyobraźniowej, zaczem o osłabionej, skobieczonej woli, poddaje się „oddaje” myślowo każdemu indywidualizmowi genialnemu, już rozwiniętemu i zaborczemu, chce się przypodobnić, aby wrosnąć w potęgę. Intelekt wyjątkowo apercepcyjny, chłonny, przy nadnormalnem u genialnych jednostek, spóźnieniu władz pamięciowych, do mocniejszego, oporniejszego, dojrzalszego, rozrosłego, głęboko wkorzenionego. Genjalna jednostka twórcza o hipertrofji wyobraźniowej, zaczem o osłabionej, skobieczonej woli, poddaje się „oddaje” myślowo każdemu indywidualizmowi genialnemu, już rozwiniętemu i zaborczemu, chce się przypodobnić, aby wrosnąć w potęgę. Intelekt wyjątkowo apercepcyjny, chłonny, przy nadnormalnem u genialnych jednostek, spóźnieniu władz pamięciowych, do mocniejszego, oporniejszego, dojrzalszego, rozrosłego, głęboko wkorzenionego. Genjalna jednostka twórcza o hipertrofji wyobraźniowej, zaczem o osłabionej, skobieczonej woli, poddaje się „oddaje” myślowo każdemu indywidualizmowi genialnemu, już rozwiniętemu i zaborczemu, chce się przypodobnić, aby wrosnąć w potęgę. Intelekt wyjątkowo apercepcyjny, chłonny, przy nadnormalnem u genialnych jednostek, spóźnieniu władz pamięciowych, do mocniejszego, oporniejszego, dojrzalszego, rozrosłego, głęboko wkorzenionego. Genjalna jednostka twórcza o hipertrofji wyobraźniowej, zaczem o osłabionej, skobieczonej woli, poddaje się „oddaje” myślowo każdemu indywidualizmowi genialnemu, już rozwiniętemu i zaborczemu, chce się przypodobnić, aby wrosnąć w potęgę. Intelekt wyjątkowo apercepcyjny, chłonny, przy nadnormalnem u genialnych jednostek, spóźnieniu władz pamięciowych, do mocniejszego, oporniejszego, dojrzalszego, rozrosłego, głęboko wkorzenionego. Genjalna jednostka twórcza o hipertrofji wyobraźniowej, zaczem o osłabionej, skobieczonej woli, poddaje się „oddaje” myślowo każdemu indywidualizmowi genialnemu, już rozwiniętemu i zaborczemu, chce się przypodobnić, aby wrosnąć w potęgę. Intelekt wyjątkowo apercepcyjny, chłonny, przy nadnormalnem u genialnych jednostek, spóźnieniu władz pamięciowych, do mocniejszego, oporniejszego, dojrzalszego, rozrosłego, głęboko wkorzenionego. Genjalna jednostka twórcza o hipertrofji wyobraźniowej, zaczem o osłabionej, skobieczonej woli, poddaje się „oddaje” myślowo każdemu indywidualizmowi genialnemu, już rozwiniętemu i zaborczemu, chce się przypodobnić, aby wrosnąć w potęgę. Intelekt wyjątkowo apercepcyjny, chłonny, przy nadnormalnem u genialnych jednostek, spóźnieniu władz pamięciowych, do mocniejszego, oporniejszego, dojrzalszego, rozrosłego, głęboko wkorzenionego. Genjalna jednostka twórcza o hipertrofji wyobraźniowej, zaczem o osłabionej, skobieczonej woli, poddaje się „oddaje” myślowo każdemu indywidualizmowi genialnemu, już rozwiniętemu i zaborczemu, chce się przypodobnić, aby wrosnąć w potęgę. Intelekt wyjątkowo apercepcyjny, chłonny, przy nadnormalnem u genialnych jednostek, spóźnieniu władz pamięciowych, do mocniejszego, oporniejszego, dojrzalszego, rozrosłego, głęboko wkorzenionego. Genjalna jednostka twórcza o hipertrofji wyobraźniowej, zaczem o osłabionej, skobieczonej woli, poddaje się „oddaje” myślowo każdemu indywidualizmowi genialnemu, już rozwiniętemu i zaborczemu, chce się przypodobnić, aby wrosnąć w potęgę. Intelekt wyjątkowo apercepcyjny, chłonny, przy nadnormalnem u genialnych jednostek, spóźnieniu władz pamięciowych, do mocniejszego, oporniejszego, dojrzalszego, rozrosłego, głęboko wkorzenionego. Genjalna jednostka twórcza o hipertrofji wyobraźniowej, zaczem o osłabionej, skobieczonej woli, poddaje się „oddaje” myślowo każdemu indywidualizmowi genialnemu, już rozwiniętemu i zaborczemu, chce się przypodobnić, aby wrosnąć w potęgę. Intelekt wyjątkowo apercepcyjny, chłonny, przy nadnormalnem u genialnych jednostek, spóźnieniu władz pamięciowych, do mocniejszego, oporniejszego, dojrzalszego, rozrosłego, głęboko wkorzenionego. Genjalna jednostka twórcza o hipertrofji wyobraźniowej, zaczem o osłabionej, skobieczonej woli, poddaje się „oddaje” myślowo każdemu indywidualizmowi genialnemu, już rozwiniętemu i zaborczemu, chce się przypodobnić, aby wrosnąć w potęgę. Intelekt wyjątkowo apercepcyjny, chłonny, przy nadnormalnem u genialnych jednostek, spóźnieniu władz pamięciowych, do mocniejszego, oporniejszego, dojrzalszego, rozrosłego, głęboko wkorzenionego. Genjalna jednostka twórcza o hipertrofji wyobraźniowej, zaczem o osłabionej, skobieczonej woli, poddaje się „oddaje” myślowo każdemu indywidualizmowi genialnemu, już rozwiniętemu i zaborczemu, chce się przypodobnić, aby wrosnąć w potęgę. Intelekt wyjątkowo apercepcyjny, chłonny, przy nadnormalnem u genialnych jednostek, spóźnieniu władz pamięciowych, do mocniejszego, oporniejszego, dojrzalszego, rozrosłego, głęboko wkorzenionego. Genjalna jednostka twórcza o hipertrofji wyobraźniowej, zaczem o osłabionej, skobieczonej woli, poddaje się „oddaje” myślowo każdemu indywidualizmowi genialnemu, już rozwiniętemu i zaborczemu, chce się przypodobnić, aby wrosnąć w potęgę. Intelekt wyjątkowo apercepcyjny, chłonny, przy nadnormalnem u genialnych jednostek, spóźnieniu władz pamięciowych, do mocniejszego, oporniejszego, dojrzalszego, rozrosłego, głęboko wkorzenionego. Genjalna jednostka twórcza o hipertrofji wyobraźniowej, zaczem o osłabionej, skobieczonej woli, poddaje się „oddaje” myślowo każdemu indywidualizmowi genialnemu, już rozwiniętemu i zaborczemu, chce się przypodobnić, aby wrosnąć w potęgę. Intelekt wyjątkowo apercepcyjny, chłonny, przy nadnormalnem u genialnych jednostek, spóźnieniu władz pamięciowych, do mocniejszego, oporniejszego, dojrzalszego, rozrosłego, głęboko wkorzenionego. Genjalna jednostka twórcza o hipertrofji wyobraźniowej, zaczem o osłabionej, skobieczonej woli, poddaje się „oddaje” myślowo każdemu indywidualizmowi genialnemu, już rozwiniętemu i zaborczemu, chce się przypodobnić, aby wrosnąć w potęgę. Intelekt wyjątkowo apercepcyjny, chłonny, przy nadnormalnem u genialnych jednostek, spóźnieniu władz pamięciowych, do mocniejszego, oporniejszego, dojrzalszego, rozrosłego, głęboko wkorzenionego. Genjalna jednostka twórcza o hipertrofji wyobraźniowej, zaczem o osłabionej, skobieczonej woli, poddaje się „oddaje” myślowo każdemu indywidualizmowi genialnemu, już rozwiniętemu i zaborczemu, chce się przypodobnić, aby wrosnąć w potęgę. Intelekt wyjątkowo apercepcyjny, chłonny, przy nadnormalnem u genialnych jednostek, spóźnieniu władz pamięciowych, do mocniejszego, oporniejszego, dojrzalszego, rozrosłego, głęboko wkorzenionego. Genjalna jednostka twórcza o hipertrofji wyobraźniowej, zaczem o osłabionej, skobieczonej woli, poddaje się „oddaje” myślowo każdemu indywidualizmowi genialnemu, już rozwiniętemu i zaborczemu, chce się przypodobnić, aby wrosnąć w potęgę. Intelekt wyjątkowo apercepcyjny, chłonny, przy nadnormalnem u genialnych jednostek, spóźnieniu władz pamięciowych, do mocniejszego, oporniejszego, dojrzalszego, rozrosłego, głęboko wkorzenionego. Genjalna jednostka twórcza o hipertrofji wyobraźniowej, zaczem o osłabionej, skobieczonej woli, poddaje się „oddaje” myślowo każdemu indywidualizmowi genialnemu, już rozwiniętemu i zaborczemu, chce się przypodobnić, aby wrosnąć w potęgę. Intelekt wyjątkowo apercepcyjny, chłonny, przy nadnormalnem u genialnych jednostek, spóźnieniu władz pamięciowych, do mocniejszego, oporniejszego, dojrzalszego, rozrosłego, głęboko wkorzenionego. Genjalna jednostka twórcza o hipertrofji wyobraźniowej, zaczem o osłabionej, skobieczonej woli, poddaje się „oddaje” myślowo każdemu indywidualizmowi genialnemu, już rozwiniętemu i zaborczemu, chce się przypodobnić, aby wrosnąć w potęgę. Intelekt wyjątkowo apercepcyjny, chłonny, przy nadnormalnem u genialnych jednostek, spóźnieniu władz pamięciowych, do mocniejszego, oporniejszego, dojrzalszego, rozrosłego, głęboko wkorzenionego. Genjalna jednostka twórcza o hipertrofji wyobraźniowej, zaczem o osłabionej, skobieczonej woli, poddaje się „oddaje” myślowo każdemu indywidualizmowi genialnemu, już rozwiniętemu i zaborczemu, chce się przypodobnić, aby wrosnąć w potęgę. Intelekt wyjątkowo apercepcyjny, chłonny, przy nadnormalnem u genialnych jednostek, spóźnieniu władz pamięciowych, do mocniejszego, oporniejszego, dojrzalszego, rozrosłego, głęboko wkorzenionego. Genjalna jednostka twórcza o hipertrofji wyobraźniowej, zaczem o osłabionej, skobieczonej woli, poddaje się „oddaje” myślowo każdemu indywidualizmowi genialnemu, już rozwiniętemu i zaborczemu, chce się przypodobnić, aby wrosnąć w potęgę. Intelekt wyjątkowo apercepcyjny, chłonny, przy nadnormalnem u genialnych jednostek, spóźnieniu władz pamięciowych, do mocniejszego, oporniejszego, dojrzalszego, rozrosłego, głęboko wkorzenionego. Genjalna jednostka twórcza o hipertrofji wyobraźniowej, zaczem o osłabionej, skobieczonej woli, poddaje się „oddaje” myślowo każdemu indywidualizmowi genialnemu, już rozwiniętemu i zaborczemu, chce się przypodobnić, aby wrosnąć w potęgę. Intelekt wyjątkowo apercepcyjny, chłonny, przy nadnormalnem u genialnych jednostek, spóźnieniu władz pamięciowych, do mocniejszego, oporniejszego, dojrzalszego, rozrosłego, głęboko wkorzenionego. Genjalna jednostka twórcza o hipertrofji wyobraźniowej, zaczem o osłabionej, skobieczonej woli, poddaje się „oddaje” myślowo każdemu indywidualizmowi genialnemu, już rozwiniętemu i zaborczemu, chce się przypodobnić, aby wrosnąć w potęgę. Intelekt wyjątkowo apercepcyjny, chłonny, przy nadnormalnem u genialnych jednostek, spóźnieniu władz pamięciowych, do mocniejszego, oporniejszego, dojrzalszego, rozrosłego, głęboko wkorzenionego. Genjalna jednostka twórcza o hipertrofji wyobraźniowej, zaczem o osłabionej, skobieczonej woli, poddaje się „oddaje” myślowo każdemu indywidualizmowi genialnemu, już rozwiniętemu i zaborczemu, chce się przypodobnić, aby wrosnąć w potęgę. Intelekt wyjątkowo apercepcyjny, chłonny, przy nadnormalnem u genialnych jednostek, spóźnieniu władz pamięciowych, do mocniejszego, oporniejszego, dojrzalszego, rozrosłego, głęboko wkorzenionego. Genjalna jednostka twórcza o hipertrofji wyobraźniowej, zaczem o osłabionej, skobieczonej woli, poddaje się „oddaje” myślowo każdemu indywidualizmowi genialnemu, już rozwiniętemu i zaborczemu, chce się przypodobnić, aby wrosnąć w potęgę. Intelekt wyjątkowo apercepcyjny, chłonny, przy nadnormalnem u genialnych jednostek, spóźnieniu władz pamięciowych, do mocniejszego, oporniejszego, dojrzalszego, rozrosłego, głęboko wkorzenionego. Genjalna jednostka twórcza o hipertrofji wyobraźniowej, zaczem o osłabionej, skobieczonej woli, poddaje się „oddaje” myślowo każdemu indywidualizmowi genialnemu, już rozwiniętemu i zaborczemu, chce się przypodobnić, aby wrosnąć w potęgę. Intelekt wyjątkowo apercepcyjny, chłonny, przy nadnormalnem u genialnych jednostek, spóźnieniu władz pamięciowych, do mocniejszego, oporniejszego, dojrzalszego, rozrosłego, głęboko wkorzenionego. Genjalna jednostka twórcza o hipertrofji wyobraźniowej, zaczem o osłabionej, skobieczonej woli, poddaje się „oddaje” myślowo każdemu indywidualizmowi genialnemu, już rozwiniętemu i zaborczemu, chce się przypodobnić, aby wrosnąć w potęgę. Intelekt wyjątkowo apercepcyjny, chłonny, przy nadnormalnem u genialnych jednostek, spóźnieniu władz pamięciowych, do mocniejszego, oporniejszego, dojrzalszego, rozrosłego, głęboko wkorzenionego. Genjalna jednostka twórcza o hipertrofji wyobraźniowej, zaczem o osłabionej, skobieczonej woli, poddaje się „oddaje” myślowo każdemu indywidualizmowi genialnemu, już rozwiniętemu i zaborczemu, chce się przypodobnić, aby wrosnąć w potęgę. Intelekt wyjątkowo apercepcyjny, chłonny, przy nadnormalnem u genialnych jednostek, spóźnieniu władz pamięciowych, do mocniejszego, oporniejszego, dojrzalszego, rozrosłego, głęboko wkorzenionego. Genjalna jednostka twórcza o hipertrofji wyobraźniowej, zaczem o osłabionej, skobieczonej woli, poddaje się „oddaje” myślowo każdemu indywidualizmowi genialnemu, już rozwiniętemu i zaborczemu, chce się przypodobnić, aby wrosnąć w potęgę. Intelekt wyjątkowo apercepcyjny, chłonny, przy nadnormalnem u genialnych jednostek, spóźnieniu władz pamięciowych, do mocniejszego, oporniejszego, dojrzalszego, rozrosłego, głęboko wkorzenionego. Genjalna jednostka twórcza o hipertrofji wyobraźniowej, zaczem o osłabionej, skobieczonej woli, poddaje się „oddaje” myślowo każdemu indywidualizmowi genialnemu, już rozwiniętemu i zaborczemu, chce się przypodobnić, aby wrosnąć w potęgę. Intelekt wyjątkowo apercepcyjny, chłonny, przy nadnormalnem u genialnych jednostek, spóźnieniu władz pamięciowych, do mocniejszego, oporniejszego, dojrzalszego, rozrosłego, głęboko wkorzenionego. Genjalna jednostka twórcza o hipertrofji wyobraźniowej, zaczem o osłabionej, skobieczonej woli, poddaje się „oddaje” myślowo każdemu indywidualizmowi genialnemu, już rozwiniętemu i zaborczemu, chce się przypodobnić, aby wrosnąć w potęgę. Intelekt wyjątkowo apercepcyjny, chłonny, przy nadnormalnem u genialnych jednostek, spóźnieniu władz pamięciowych, do mocniejszego, oporniejszego, dojrzalszego, rozrosłego, głęboko wkorzenionego. Genjalna jednostka twórcza o hipertrofji wyobraźniowej, zaczem o osłabionej, skobieczonej woli, poddaje się „oddaje” myślowo każdemu indywidualizmowi genialnemu, już rozwiniętemu i zaborczemu, chce się przypodobnić, aby wrosnąć w potęgę. Intelekt wyjątkowo apercepcyjny, chłonny, przy nadnormalnem u genialnych jednostek, spóźnieniu władz pamięciowych, do mocniejszego, oporniejszego, dojrzalszego, rozrosłego, głęboko wkorzenionego. Genjalna jednostka twórcza o hipertrofji wyobraźniowej, zaczem o osłabionej, skobieczonej woli, poddaje się „oddaje” myślowo każdemu indywidualizmowi genialnemu, już rozwiniętemu i zaborczemu, chce się przypodobnić, aby wrosnąć w potęgę. Intelekt wyjątkowo apercepcyjny, chłonny, przy nadnormalnem u genialnych jednostek, spóźnieniu władz pamięciowych, do mocniejszego, oporniejszego, dojrzalszego, rozrosłego, głęboko wkorzenionego. Genjalna jednostka twórcza o hipertrofji wyobraźniowej, zaczem o osłabionej, skobieczonej woli, poddaje się „oddaje” myślowo każdemu indywidualizmowi genialnemu, już rozwiniętemu i

rzucić się w objęcia balladystów niemieckich.

Przyjaciół rodziny Odyniec rozprowadzał cuda o niemieckiej poezji, a pani Salomea, mocno przypominająca berlińskie plutokratyczno-profesorskie Egerje romantyzmu, „studjowała” Kanta i Humboldta, tego Humboldta, który w podróz po Azji wziął ze sobą tylko Polaka... Witkiewicza.

W gimnazjum na lekturę uczniom dawano tragedję Kleista, W „Dzienniku Wileńskim” bywały tylko prace o niemieckich uczonych i poetach. A czy to grał teatr polski, czy jeździła raz po raz trupa niemiecka, repertuar bywał przeważnie z dzieł niemieckich. Tak więc z teatru jak z księgi p. de Staël, jak z Odyna, Borowskiego i pana Mickiewicza, młody przed dwudziestą wiosną Słowacki sielszał, widział, wczepiwszy i wchłaniał w siebie, „Zbojców”, „Don Carlosa”, „Walenstein”, „Tella”, „Goetza z Berlichingena”, „Egmonta”, „Tassa”, „Dziwice orleańska”, „Narzęcona z Messyny”. Z pani de Staël „De Allemagne” dowiedział się po raz pierwszy o Werterze... i o „Fauście”. W teatrze niemieckim (1923) usłyszał po raz pierwszy nazwisko Beniowskiego w melodramacie Kotzebuego („oder die Verschönerung von Kamszatzka”); tu też tragedję Körnera „Helena (oder die Hajdamaken in der Ukraine)”. Kiedy wyrusza w świat po raz pierwszy a na zawsze, matka (często bywała w Karlsbadzie) daje mu do torby podróży przedewszystkiem... „Rozmówki niemieckie”.

W liście do matki z Wrocławia (1831) pisze: „Mówię już trochę tym językiem”. A potem z Drezn: „w ustach dam ładny język”, a potem z Drezn: „czytam wiele przez dzień cały”, a potem z Genewy: „Pracuję teraz ciągle, czytam bardzo wiele. *rzuciłem się cały w filozofję niemiecką, pomimo wielu czczych marzeń idealizmu karmi ona moją imaginację*” (1834), a potem z Paryża (którego nie znosił): „gdybym jeszcze mógł wybierać kraj do mieszkania, przeniosłbym się do Niemiec i żył spokojnie i tanio”, „*do literatury francuskiej zausze miałem ustręt*”, nie myślę więc, żebym kiedyś został renegatem” (1839). A kiedy umiera Goethe: „dowiedziałem się o śmierci Goethego, pomyślałem sobie, że Bóg wziął go z tego świata żeby dał mnie wydającego poezję miejsce zrobić”.

Goethem i „Faustem” przepelniony jest umysł jego od pacholecia. Mniej Schillerem. Mniej „Werterem”. „Mając lat 19 miałem Mahometa wystawić, ale w guście „Fausta” lub „Manfreda”, rczmawiającego z duchami” („Pamiętnik”). „Pociągnę hausta, jak się rozogni myśl”, „Fausta”. W listach do Brobrowej raz po raz o „Fauście”. W dziełach ciągle przewija się Faust: „Jak Wagner, sługa Fausta, gap uczony”, „Haha, jeszcze raz z Rzecznikiem chciałbym zejść się na ziemi i w tym famulusie mego faustyzmu niewydrwione strony wydrwić” („Pamiętnik”). „Z rozpaczy kończę tak jak Werter w Getym”. W dramacie o Beniowskim: „Dziwak, misjonarz wielki, który chował Niemca, ażeby z nim filozofował. Ten Niemiec, człowiek dowiecipu, nauki. I wiadomości dawnowiecznych starych wielki przyjaciel, formy oraz sztuki filozoficznej także ściągacz mary. Zwał się Faust. Człuył go na zamku kruki”.

Gdzie ruszył, w dziełach, listach, pamiętniku, raptularzu — wspomnienia z niemieckiego romantyzmu. To Werter, to Tell (w „Kordjanie”), to markiz Poza z „Don Carlosa” („O potrzebie idei”), to o szylłeryzmie (recenzja z „Nocy letniej” Kraszińskiego), to o balladach niemieckich...

Ze język niemiecki znał (w co powatę piewiali Tarnowski i Jabłonowski) — nie ulega najmniejszej kwestji. Jeżeli w późniejszych latach Mac Donald angielskiego nauczył go w trzy miesiące, to ten język, który od chłopięctwa mógł słyszeć w Wilnie w domu, w rodzinach przyjacielskich, w teatrze, w szkole, musiał posiadać po r. 1831 już w każdym razie bardzo mocno, skoro w Genewie nawet rozczytywał się głównie w niemieckich filozofach, wówczas albo jeszcze na żaden język nie tłumaczonych, albo wogóle nieprzetłumaczalnych. Wszyscy nasi romantycy język tak sympatycznych wówczas dla Polski Niemców biedermayerowskich znali i począwszy od Mickiewicza (po r. 1831), Brodzińskiego, Garczyńskiego, a skończywszy na Szabrańskim, Kossaku, Grozie („panie Grozo, lepiej proza”), tłumaczyli co było do tłumaczenia, na wysciigi.

„Rzuciłem się cały w filozofję niemiecką”. W idealistyczną filozofję! W to samo rzucili się Wordsworth i Coleridge... Beyle-Stendhal i Wiktor Hugo. A w tej filozofji i Szwed Swedenborg („De origine Anhellorum”), Boehme, Goerres, Schleiermacher, Novalis, Angelus Silesius (mystycy), dalej Hegel, Fichte, Herder, Tieck, Schlegelowie (fragmenty o sztuce dramatycznej), Schelling... całe wodospady nowych idei, nowych spekulacji... emocji... rewelacji... „absolutna wiedza”... „fenomenologia ducha”... „gnozis... Kabała...”

I znów cały duży tom do wypisania, do kontynuowania i rozszerzenia studjum Pawlikowskiego Jana Gwalberta. Jak M. Bieniostek wykazał w kompletnie nikomu nieznanej a bardzo sumiennej pracy (1909, Wadowice) olbrzymiość literackich sugestji i powinowactw niemieckich (Goethe i Schiller), tak musi się znaleźć ktoś, kto nie tylko przestudjuje mistyków, ale i całą plejadę niemieckich filozofów romantycznych szprentuje (Irzykowski, Sobeski, Miller?)

I tu trzeba teraz przypomnieć, jak się to na tych pisarzy i twórców „wykarmionych mlekiem Hegla et Comp.”, zapatrzonych „mallesu romantizmu”, wielki oskarżyciel i inkwizytor Ernest Seillière. Krótko mówiąc: „zaraza germańska”, mał du siecle, psychoza, choroba mózgów, laboratorium trujących gazów i obłąkanych błąkań i rozpust myślowych... państwo szatana nefacji... zatruta cysterna... „siły fatalnej”... „niewidzialnej”, całą elitę

umysłowości europejskiej gniołającej i terroryzującej...

Pod tym kątem widzenia trzeba też raz na to spojrzeć, posługując się racjonalistycznymi kryteriami publicysty, by dać może impuls solidnej metodologicznej egzegezie uczonych „w Piśmie”. Sielskim, domorosłym hagiografom i patrologom romantyzmu daje się w ten sposób okazję do obrony świętości przed ikonoklastami i bluźniercami. W każdym jednak razie dyskusja powinna być wreszcie raz i na ten temat otwarta i świeże powietrze do zateńskich gabinetów przyczynkowiczów, rozprawkowiczów i mistyfikacyjnych wpuszczono.

Jak i którą drogą prowadzi do romantyzmu do... anarchji, wykazał Seillière w diagnozie pacjenta, romantycznego utopisty Fourriera, zapiekłego wroga rządów „zdrowego rozsądku”, wróżącego już w r. 1803, że ludzkości tylko Rosja da wieczny pokój!!! „Nową Jerozolimę!!!”... (harmonie universelle?) Jeden zaś z bojowników seillière'owskiej krucjaty przeciw romantyzmowi, Félicien Pascal, w dziele p. t. „Du romantisme à l'anarchie” (1906) przeprowadził prokuratorowski dowód prawdy, że ideologia romantyzmu wiedzie w prostej linii spadkowej do rozprzeczania i rozstroju wszelkich więzi społecznych, do anarchji.

Idzie też droga od idealistycznej filozofji niemieckiej, od mefistofelizmu goethe'owskiego „Fausta” I i II części aż do lucyferyzmu w „Samuelu Zborowskim” i przepętnej obrony diabolizmu Popiela w „horyzontalnie najpierwszym poemacie” i do apokaliptycznej wizji ludowego papieża słowiańskiego w „Królu-Duchu” aż...

Ongiś Anheili, później „Julinicz” (wieszcz ludowy z „Niedokończonego poematu” Kraszińskiego), przeszedłszy przez dantejskie piekło najmniejszego żywota, dosłownie sam i obcy wśród ludzi, rozpięty na krzyżu swoich ambicji, obolały i poraniony w „Kampf gegen die Umwelt”, pełen wzdrgań dla harfizarzy, którym tłum klaszeczka a sam bez światła oklasków, nabrzmiał „Weltschmerzem” a może i swoją osobistą Hamletiasis przytłoczony, zrazony kolejno do wszystkich co swojskie i do wszystkich co swoi, odgranicza się już w swym solipsyzmie od całej ojczyzny ziemskiej, realnej, doczesnej, i przenosi na astralną, sztuczną, metafizyczną. Już dawniej z iście heinowskiim sarkazmem i ironją mówił przecie, że „plunąłby w oczy temu, kłoby go zapytał, czy ja Lechita. Cóż to? czy mi z oczu patrzy gburstwo, pijaństwo, obżarstwo, siedm grzechów głównych, gwałt do wrzasków, do ukwaszonych ogórków, do herbów...” Tak już w zaraniu twórczości się odgradzał. A teraz po katordze całego żywota... „duch pasji” dyktuje rozgorycznemu, storturowanemu obojętnością „gruźlikowi”:

„Nie mówcie mi już o mękach narodu. Cóż naród dla mnie, bezdzietnego człowieka? Serce się moje nagle stało z lodu, I myśl od ludzi jak zbójca ucieka I brata w żadnym człowieku nie widzi I zamiast kochać ludzi—nienawidzi”.

W tym stanie ducha Byron apoteozuje Kaina, a nasz „matchniony z niebios” (wedle Puszkina) Serafita, któremu „Bóg obronę przyszłości poruczył”, „duchem Bożym przepelniony”, staje przed wielkim trybunałem z lucyferyczną obroną dwóch skazańców naszej dziejowości, z obroną Samuela i Popiela.

I z tego stanowiska bowiem można odnosić się do tych najdroższych każdym sercem i duszom arcydzieł, po przestudiowaniu dzieł krytykujących dziś całe kosmos romantyzmu filozoficznego i poetyckiego jako olbrzymi nurt poeciowy, z zachorzałych umysłów wyrodzony a doktryny zgubne, odśrodkowe, negacyjne, dezorganizacyjne i destrukcyjne egzaltujący i propagujący.

Za szczyty najwyższe poezji Słowackiego, twórczym, wulkanicznym wybuchem genialności ponad wszystkie polskie pasma górskie wzniezione, uważać dziś już musimy „Króla-Ducha” i „Samuela Zborowskiego”. Tu już sięgamy gdzie wzrok normalny nie sięga, tu już osiągnięte jest to co nieosiągalne. Ale gdy „Król-Duch” jest i pozostanie tylko kwiatem lotosu dla niewielu, „Samuel” stanie się z czasem dla wszystkich chlebem bożym może nawet dla „duchem maluczkich”. I w tem tkwi niebezpieczeństwo. Nie rozumiejąc „Króla-Ducha” możemy z tego „ignorabimus” się rozgrzeszyć, możemy zacytować nawet trywjalny osąd Kraszińskiego, tego samego Kraszińskiego, który „Julinicza” wyżej stawiał, goręcej kochał i złoźniej szanował a jednak pisał: „Nieprawie nie rozumiem: albow ja warjat czytelnik albo autor co to wszystko napisał; jeżeli dwadzieścia strof rozumiem—najwięcej”. Dzisiejsi komentatorzy, katechumeni i egzegeci pono wszystko rozumieją. Ale gdyby Słowacki żył, toby się ich może potrząknąć zapał, jako Hegel heglistów, Marx — marxistów, Wagner—wagnerzystów, a Nietzsche — nietscheanów. Nie ma z nich bowiem żaden w rekach nicy Arjadyń do tego labiryntu poplątanych cudownych wizji i upajających majaceń, genezyjskich tajemnic, prawd wiecznych, kolumn żywotnych, egocentrycznych walk o „wodzostwo”, przemieszanych raz po raz z historiozoficznymi dygresjami, do znowu z dociekaniami o pochodzeniu gatunków, to z apokaliptycznymi halucynacjami, co w sumie jest jako potok wezbrany niepospolitego piękna odurzających, oczadających alegoryi, aluzji, metafor, obrazów, hiperboli, przy niesłychanej rozrzućności słownej i rozwiąłości, „zgubnej plynności” i „zawrotnej dowolności” rymów. Jeżeli czysta poezja — to czysty irracjonalizm, to ten wizyjny chaos przedstworzony jest odcinającą piękną samą w sobie, nie tylko muzyką, samą muzyką, którą tak brać należy. Ale jeżeli komentatorzy siłą się zapoceni, żeby nam do

rozumu przemówić i logicznie tłumaczyć, tak jak Apokalipsę św. Jana, to próżny ich trud, skoro sam Słowacki wtedy przyznawał, że „myśli me gryzą się i strzeżają...”, „już prawie jestem człowiek obłąkany”. I tu nic nie pomaga i nie „rozwidnia” te nad przepaściami warjantów, dopisków, skreśleń rozpięte mosty naciąganych komentarzy i odcyfrowań, gdzie jeden ekspert czyta: „skała”, drugi: — „Skałka”, jeden „Kwiatynę”, wyjaśnia jako kwietnik, drugi jako boginkę słowiańska, a wszyscy mistykologdy głowią się nad pryncypalnym zagadnieniem ustalenia definitywnego, jaka jest kolejność przewieleń w „łańcuchu genetycznym” a to Mickiewicz, a to Słowackiego!! A toż przecież na samą „prawdę wieczną” mełampsykozy (sic) i sam Słowacki negatywnie miał poglądy, skoro Towiańskiemu zarzucał swego czasu, że „ideę mesjanizmu dowolną indjanizmu (sic) mełampsykozą pobrudził”. A jakżeto już wierząc żarliwie w platońskie i swedenborgiańskie systema przechodzenia dusz, w preegzystencję wielkich duchów, w kolumny żywotów, siebie w tych łańcuchach genetycznych konkretyzował raz tak a raz ował! W „Wykładzie nauk” (1845) był pierwszym człowiekiem Edenu, potem przeszedł w ciało Homera (w tym roku tłumaczył „Illiadę”), potem w Rzymianina posagowego pięknego, to znów w św. Antoniego, w krzyżowca walczącego z Turkami, w malarza, wreszcie przewiecił się w Polsce. Tymczasem w rozmowie z Budyńskim („Wspomnienia”) był kolejno kaznodzieją na Libanie, rozbójnikiem w górach, wreszcie harfizarzem—druidem w Polsce... To też i w „Królu-Duchu” nawet, w tej pryncypalnej kwestji rzeczoznawcy—wykładcze, a to pater Artur a pater Gwalbert i inni bractwiskowie z „zakonu”, w mrocznej dzungli toporem drogi rabiacy, często sobie wzajem przeżeczając, zabawne przytem dysputy wodząc: „homousios” czy „homojosios” czy „Śwityn” — „Zorjan” to Mickiewicz, czy nie Mickiewicz?... czy Wodań od wody, czy nie Wodań germańskiego?... i t. p. W romantycznej literaturze angielskiej jest

dwóch takich poetów mistyków, nieodczyrwalnych ksiąg ciemności, t. j. Blake i Browning. A dla ich egzegezy i uprzyśtępnienia zjadaczom chleba i „ironatorom” istnieją całe societys literackie; może tedy i u nas tylko kolektywne w klasztoru jakimś dociekania dadzą temu radę. Contra spem speramus.

Pozostaje atoli idea generalna, „absolutna prawda” tej gigantycznej monoe-popei, skrytalizowana w apologety tej kolumny duchów, która zaczyna się od Hera Armeńczyka, poprzez Rytigiera-Popiela... Mieczysława, Bolesława Śmiałego zbacza aż do... ks. Michała Twerskiego... ażeby właściwie kończyć się... Samuelem... względnie samym poetą. I tu miaby wiele do powiedzenia polski Seillière czy Lasserre czy Pascal. Tu są owoce „zarazy germańskiej”, ślady infekcji intelektu i idealistyczna filozofja niemiecka... dialektyka heglowska... mefistofelizmem z „Fausta”, a pochodnie i pośrednio też stąd się wywodzący... Karamzina i... Towiańskiego... Tego znachora i carofila, który głosił w „Kole” kategorię mus obmycia się z „grzechów wobec cara Rosji spełnionych”. Tego Masynissy tułaczów czar i upiorny urok, na poetów rzucony, trwał jeszcze nawet po zerwaniu, i jego czysto rosyjskie pojęcie, że do poznania tego co dobre trzeba przejść przez grzech i zbrodnię, że złu się sprzeciwić nie trzeba, że złu pomaga w postępie ludzkości do celów finalnych, do szukania absolutu. A eksponentem tych mongolskich poglądów, kultu „siły ducha”, jest legendarny Popiel z „Balladyny”, ale pogłębiony, demoniczny: „Jam jest bicz boży okropny”. Władzę i rządy zdobywa gwałtem i zbrodnią. Przez występki, okrucieństwa i znikczemienie, rabunkami i mordem naród swój kształci, wychowuje i podnosi. Tak Karamzin wielbił swego Iwana Groźnego. A wywodziło się to uobóstwienie „potęgi ducha” z Herren-Moral, „idealistycznej” spekulacji o państwie Hegla. A ten Popiel Groźny, nie naski, nie lechicki i polski, ale pruski i karamzinowski, przeciwstawia się tu (i będzie się przeciwstawiał w dziejowości polskiej po dziś dzień) Zor-

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

IKWA I JA

JA: Wierzbowa wodo, wonna wiklina,
Skąd twoje fale zielone płyną?
Jakaś wzburzona, jakaś zmącona
Twoja pachnąca fala zielona.

Ikwo, ach, Ikwo, wonna i cicha,
Piers twoja wonna wierzbową wzdycha,
I płynieś wiotką, szybka i słodka.
Czy myślisz, wodo, że on cię spotka?

IKWA: Już on nie stanie wśród mojej drogi,
Mój szept dla niego już za ubogi,
On w Oceanu wśluchany dreszcze —
Ale się śpieszę, ale chcę jeszcze
Spotkać spojrzenie — żrenice wieszczę.

JA: Żrenice zgasyły i niema ciała,
Czaszka surowa tylko została,
Zebrali prochy, wosy zebrali
I pochowają od ciebie w dali.

IKWA: Śpieszę się, płynę, wstęgą się wiązę,
Może nadążę, ach, może zdążę,
Z Styru na Prypec, z Dniepru na morze,
Może się jeszcze przed nim położę.

Ale on płynie lotnym okrętem,
Sam jeden z sobą i z testamentem,
Zanim podąże, lądy okrąże,
Nim wstęgi ramion z węzła odwiążę,
Już nie nadążę, już nie nadążę.

Nie będę jego kolebać smutku,
Jak kolebałam dziecinną łódkę,
Kiedy szuwarem i tatarakiem
Znaczyłam jego rusalnym znakiem.

Ach, kołysałam ja kolebeczkę,
Ach, kołysałam ja kołysieczkę,
Byłam zwierciadłem dla synów dumnych,
A teraz chciałam kołysać trumnę.

Ale mnie czeka droga daleka,
A on ode mnie w niebo ucieka,
Nim się rozustąże, zanim okrąże,
Już nie nadążę, już nie nadążę.

JA: Zaczekaj, rzeko, Ikwo, zaczekaj,
Nic nie zostało z tego człowieka,
Ciała się jego całe spopiela,
Dusza się wtecza i przeaniela.

Myślałam jemu wybiec naprzeciw,
By mi jak gwiazda w morzu zaświecił,
By mi odśpiewał pieśnią nadwodną,
Pieśnią nieżałną, pieśnią pogodną.

Nim się z odmetu ziemi wygrązę,
Nim się z okręgu świata wykilkam,
On jak Lucyfer — niebieski ksiądz —
Odleci cieniem wielkim i nikłym.

Napróżno szemrzesz, próżno ja wołam,
Nie dopędzimy w niebie aniola,
Nie dopędzimy gwiazdy zawrotnej,
Nasz pęt samotny — jego lot lotny!

Bo on odpływa wietrznym okrętem
Ponad naszego świata zamętą.
Nim się z ziemskiego prochu rozwiążem,
Już nie nadążym, już nie nadążym!...

Już odlatuje, już niepowrotny,
Żagle obłoków zbiori się lotny,
Jak gwiazda taje w nieba roztoczy...
Obłok nam jego zdejmuję z oczu...

janowi-Świtynowi, rapsodowi z kołodziej-skiej, słonecznej, lechickiej „kolumny duchów”, z patriarchalnej chaty „na szmaragdowych łakach przy Kruszewicy” przeciwstawia „piastującemu sprawę Pana...” Piastowi...

„...Starzec sławą słynął,
Bil wrogi moje, winy moje gładził,
Na dwu srebrzystych morzach mnie

posadził
Stary — a miecza do pochwy nie
chowal...”

I temu Piastowi Popiel wbia w nogę szpic posocha jak Iwan słudze Kurb-skiego Kniazia... I Popiel (Rytigier) nurza się w okropnościach, wyzywa niebo, ugniata i przesładuje piastowską Polskę kołodziejską i w imię dobra przyszłego dobra swego ludu *łania prawo boże*, tak jak Samuel *łamać będzie prawo ludzkie*... I tem są wielcy? Tak, tem są wielcy.

Z „horyzontalnie najpierwszego poematu”, z falang cudownie rozdźwięczanych strof, z kaskady zlotolitych rymów, z kurzawy najdrogocenniejszych słów, z symfonji dźwięków i z chórów jakby a-nielskich przebieja się dysonans moralnego fałsu i błędu, mefistofeliczny chichot: przez zło do dobra, przez łamanie prawa bożego do potęgi...

A jak przez łamanie *prawa ludzkiego* do... sławy grodu, to znów prawda „absolutna” „Samuela Zborowskiego”. Jak tam zmaganie się z Polską kołodziejską, piastowską, tak tu w stan oskarżenia postawiona Polska kanclerska, Zamoyska (bo tych świętych kanclerzów Zamoyskich było przecież dwóch: Jan i Andrzej). Rap-sodja — misterjum dramatyczne z nazwiskami także i historycznemi, ale z autentyczną historią nie ma to ani jednego włókna wspólnego. Romantyczny dramatyzm nasi wyrobili sobie przywilej całkiem subiektywnego i suwerennego traktowania dziejowości polskiej. Jest to więc raczej historiozoficzno—syntetyczne widzenie i ujęcie materiału historycznego; postacie w tem nic nie mają w sobie z historycznych charakterów, są natomiast projekcjami pewnych myślowych pojęć i doktryn. W dramatach z legendarnej, omazłej, przedhistorycznej Polski Słowacki jeszcze najbardziej estymuje prawdę wierutną, ponieważ ta prawda jest tam fikcją, zmyśleniem, mitem. Natomiast w jego „Polsce Jana Kazimierza” nic niema z tej ery i z jej charakteru. Król „Słubów w lwowskiej katedrze” szprentowany tu parodystycznie, a Mazepa do Mazepy swego biografa Kostomarowa w niczem niepodobny. Marja Stuart jak u Schillera tak u Słowackiego — to fantom, z „Queen Mary” nic a nic wspólnego. Spisku koronacyjnego w erze Kordjana wcale nie było, w konfederacji barskiej zaś przeważał żywioł bałagulski, awanturczy, pijacki, nieco może faszystowski, reakcyjny, anarchiści z epoki saskiej. Beniowski nie był ani „piękny, jak Bóg” ani „wielki duchem”, ani „żywotem wszechludzki”, tylko źle po polsku mówiący globetrotter.

A Samuel historyczny? Słowacki znał go i brał na wiarę z książki-pamiętnika Karola Sienkiewicza (1844). My go znamy z dzieła Dzierżgowskiego (1901), tak jak dziś znamy dobrze Makrynę Mieczysławską, ex-żydówkę i konfidentkę—szpiega rządu nikolaiewskiego, „świętą” romantyczną na służbie i zoldzie policji petersburskiej.

Zborowscy byli ewangelikami. Trzej bracia, rozpasani magnaci — degeneraci, katylinarne egzystencje, ród banitów. A najgorszy Samuel, anarchista, zbrodzień, morderca Wapowskiego, rozbijacz, fałszerz, intrzygant, pieniacz, pijak, antypaństwowiec. W każdym innym państwie europejskim byłby już trzy razy wisiał za swoje crimina i szaleństwa, zanim w Polsce zaś został ścięty, późno, gdyż jako adherent elekcyjny króla Stefana długi czas u dworu miał protekcję.

Tymczasem już Karol Sienkiewicz lekko go próbował rehabilitować. I w oczach bezkrytycznie czytającego twórcy „Beniowskiego” już go zrehabilitował. I oto znów z ducha przekory i przeciwstawiania się duchowemu kanclerzowi emigranckiego partakularza paryskiego Słowacki, podnosząc styl, charakter i atmosferę dramatycznej rapsodji w najwyższe regiony dialektyki i moralnie filozoficznych kontrowersji, całkiem bagatelizując i pomiatając materiałem faktycznym (nawet w Sienkiewicz u jednak stwierdzonym), z czegoś co najczarniejsze robi duszę nad śnieg bielejącą. Z antenata Zebrzydowskich, Lubomirskich i innych duchów Popielaowej staje się „podobny dawnym rycerzom pół-bogom”, „animusz wielki”, co „miłość ojczyzny stworzył”. Z wichrzyła i zdraycy staje się „duch wolny, nie lennik”, co „całem sercem miłość swej ojczyzny włonił i całą nosił w sobie”. „Cezar polski śmiały, dumny”. Ten Samuel „słynął wszędzie”, a Zamoyskiego „kił w oczy zaproską sławą”. Jeszcze mało. „Niewinny zginął człowiek”. „Przez ducha zabitego szła dawna Polska w górę”, „Święta sprawa w Zborowskim żywa”, „wielka sprawa boża”. „Droga ducha idzie przez Polskę i na niej mord spełniony”, „Polsce taki czyn nie brałni”, „Prawdła zgwałcene” i „prawo nowe co wolność ducha zabezpiecza”. Jeszcze mało. „Powietrze całe było przy nim święte”, „ciemniowa korona męczennika”. „Leży jak Pan Jezus”. Przez to zaś, że „zdjęto łeb” temu lajdakowi, jednemu z najgorszych w naszych dziejach, została „złamana pierwsza pieczęć na wolności polskiej”. „pogwałcony duch”... Dość!

Tak, to są najwyższe turnie i wirchy tego romantyzmu, „mał du siecle”, który drogą negacji i zaprzecstwa, byronicznego buntu przeciw „martwym siłom praw” boskich i ludzkich wiodł (jak to wykazał w swej pracy Pascal) prostopu ku anarchji i rozstroju wszelkich więzi i moralnych i społecznych.

Oredunkiem i obrońcą, adwocatem diabła jest tu diabolus sam, Prometeida Lucyfer, Erdgeist, reprezentant „postępu sprawy ducha”, a równocześnie deuterio-

typ Mefistofelesa z „Fausta” niemieckiej filozofji idealistycznej, „germańskiej zarazy” adept i emisariusz. On to, Lucyfer, poprawiony, pogłębiony i udojony Mefistofel, staje w *rażenictwie* polskiej złotej wolności, on, nazwanyjący się sam „Iskarjotą” i „czerwoną duszą” (rozmowa z Nereida). On to umoczył chustkę we krwi ściętego złoczyńcy, on ją jako manifest prezentuje trybunałowi, on, podnosi wielki krzyk o „nieprawości” i on, z Fausta zrodzony szatan dziejowy, Zamoyskiemu przypomina, że „kanclerze nie byli kaci”. I on głosi mu werdykt: „U nas ty jesteś nie ludzki, nie brałni, a za ostatnim Polakiem ostatni”.

I oto tu mamy ową „siłę fatalną” („ein Theil von jener Kraft”) i tu mamy „ducha wiecznego rewolucjonistę” („der Geist der stets verneint”), uchwyczonego na gorącym uczynku obrony tego co dla polskości jako więzi społecznej, jako rasy, jako całosci, byłoby odśrodkowo rozsadzającą, wybuchowym materiałem najwyższej siły. Lucyfer majordomusem księcia Poloniusza, „...odrostka królów”! Przeciw *prawnikowi*, organizatorowi, statyscie, sędziemu, rozgrywanemu jest *krwaownik*, demoniczny, destrukcyjny czynnik naszych dziejów, „złotej wolności” żrenicy... apologeta...

I oto gdzie leży, gdzie mogłoby leżeć właściwie pewne niebezpieczeństwo. Oto w tem, gdyby w miarę podnoszenia się, choćby wolnego, całego intelektualnego poziomu u nas, a wraz z nim rafinady i wybredności gustów literackich, w przyszłości na miejsce „Pana Tadeusza” dostawał się do rąk niepowołanych... „Samuel Zborowski”... Może to są melodie dalekiej przyszłości, ale w każdym razie to nie byłaby książka, która winna za błądzić pod strzechy czy na powszednią lekturę młodzieży. W tym jednym tomie bowiem nagromadzony jest skarbiec piękna istotnie najdrogocenniejszego, najbardziej upajającego i uwodzącego. Naszej dramaturgii całej jak szeroka i długa to dzieło, choć również z arcypolskim bezładem skonstruowane, to jednak jako geizer gorących i parzących myśli utwor najszczytniejszy, nigdzie przez nikogo już nigdy niedosięgalny. Wobec tego kwiatu agawy, na sto lat raz rozkwitającego, smak „Pana Tadeusza” przypomina dobre okragłe rumiane jabłko; na gorąca imaginację lechickiej młodzi wnet ta Scpliwowska idylla zacnie działał jak wypłowiwały muzealny arras. Z tem większym impetem zwróca się w stronę tej trybuny w granice kowane, z której przemawiać będzie błyskawicami, wszystkie horyzonty rozświetlającami, „wieszcz ludowy” Julinicz.

Jego bowiem będzie za grobem w przyszłości zwycięstwo, bo w nim tylko, a nie w Mickiewicz i nie w Norwidzie, są jeszcze całe archipelagi, całe Atlantyd niezbadane i nieodkryte, tajemnicze, zwodne, czarujące, bo on tylko jeden jedyny ma w rącejm szumiącym potoku złości swęj twórczości obok szerokich rozlewnych pływcin rozhalanej, rozczawowanej improwizacji — dziwne, zawrotne, ciemne głębiny. On jeden w Słowiańszczyźnie, a Dostojewski drugi.

Temci bardziej trzeba było przepelnionego „duchem bożym” herezjarchę poznawać, badać, odkładać, znów wracać doń, rzucać książką o ziemię i znów jej brzezi całować, spierać się z nim, zrywać i znów o przebaczenie prosić, ale nie rozstawać się przez życie nigdy. Tem to przyjdzie łatwiej, że ten jeden z naszych „wielkich”, domowych „wielkich” (bo przez Europę stale i konsekwentnie niezuznawanych i nieznanych), nas, wiernych „Trójcy” najświetniejszej, jeden jedyny, nie znudzi nigdy a podnieca i podrażnia zawsze. I kochać tę małą błądą, czarnowłosą dziwną postać, komu niesamowita nawet w galerji niesamowitych wielkości, tego naprawdę tułacza, pielgrzyma, cierpiętnika i straconego na ziemię aniola.

I kochać go trzeba bez poddańczej dewocji i patetycznego służalstwa, nie na wiarę i słowa magistrów i nekrofilogów, urzędników biograficznych i czeplających się plebejów ducha, ale osobicie, żarliwie, wnikliwie z pasją, nawet bluźniąc (bo i blasfemje są wiarą à rebours, naopak), byle z poczuciem własnej niepodległości, byle nie konwencjonalnie, byle nie z nakazu tłumów i autoritetów. I kochać go należy za to, że wiele nienawidził, że miał pańską wzdargę dla szerokiego beznamiętnego collectivum zjadaczy chleba, czerepów rubasznych, czered i kochać za to, że słowa: król, królewski, królewskość, korona, berło... były dlań najświętszymi dźwiękami mowy ludzkiej, że polską szlachęckość rycerską wieden czy bezwiednie roz-srebrzył, uskrzydlił, tysiącem błasków i tęczą opromieniał, że dla dziedzicznego polskiego maksymalistycznego indywidualizmu, może grzesznego, błędnego, trującego, ale rasowo, plemienne organicznego indywidualizmu, wypiewał najwspanialsze ponadziejowe w peanach i w misterjach symbole. I z miłości, aby nam było przebaczone, wybaczyć mu trzeba to wszystko co w nim było z czasów i z epoki i to co z dziedzicznych obciążeń, i to co z drobnych ludzkich ułomności, i to co z psychy nadmiernej, i to co z pokory „wielkiej przemiany”, i to co z „mał du siecle”, i to co z mimetyzmu i z romantycznych chorób i waporów, i to co z awersji do rymnyskiej formy „strasliwej, gorszej od mongolskiej” w epoce ukorzeń Watykanu przed caratem.

Wraca do nas teraz nie żaden „wieszcz ludowy” Julinicz, pater partii, ale Patriae pater, najrozrzućniejszy szafarz piękna, aristokrata ducha, z tych, o których mówi Emerson, że w najwyższych sferach ducha są autochtonami, — wraca jeden z tych, bez których „próba grobu” nie byłaby zwycięsko przeprowadzona. Wraca ten, z którego nie wy wszyscy! — a my nieliczni, sercem gorący po tej i tamtej stronie brzegu... Ignis Ardens...

Już dziś wie, „gdzie się w mogile położę”...

K. W. ZAWODZIŃSKI

Irreverencja czy mumifikacja?

Poeta z przeszłości, bez względu na znaczenie jego w jego epoce i na wpływ jego na rozwój literatury, może w następnych epokach żyć dalej, albo też trwać tylko jako dźwięk imienia lub legenda. Zwracanie na to uwagi wydało mi się w swoim czasie jedną z najbardziej znaczących właściwości metody prof. Tadeusza Zielińskiego w jego kursie literatury greckiej. Stosunek do pisarza z przeszłości jest do pewnego stopnia miarą jego talentu, lecz w większym jeszcze stopniu charakterystyką ustosunkowującej się epoki. Pod żywym zaś trwaniem poety należy rozumieć nie odczytywanie go z obowiązku szkolnego w młodości czy dla konwensu w wieku dojrzałym, lecz swobodny o nim sąd czytelnika, który z obowiązkowym kultem pogodzić się nie da.

Żywy kult Słowackiego rósł w ciągu drugiej połowy XIX w.; był on pasją, bojowym standardem każdego przychodzącego do głosu pokolenia; w imię radykalizmu społecznego, swobody twórczości, świętości poezji, jej wciąż nowych haseł, wysuwano na czoło, jako wciąż żywa i aktywna potęgę, dzieło poety. Odkrywano w nim wciąż nowe horyzonty, po nowemu go sądzono i brońono; odracając słowa poety, „dla nikogo kto żywy nie był obojętny”. To „zwyństwo z grobem” przypada nie tylko na epokę Młodej Polski, jakby teraz czasem można sądzić, lecz na całe półwiecze, które mogłoby ująć w graniczne kamienie dzieł naukowych: Małckiego na początku, Matuszewskiego i Tretiaka na końcu okresu.

Od owego czasu praca wydawców i komentatorów postąpiła bardzo, dzięki ich świetnemu wysiłkowi poznanie Słowackiego jest ułaskawione niezmiennie; czy jednak korzystamy z tego? Czy czytamy go poza szkołą (które) dzisiejsze metody są gwarancją, że nikt z tak świetnie wprowadzonych w możność studium poety uczniów nie weźmie go do ręki po maturze? Czy umiemy określić nasz stosunek do niego, sformułować nasz sąd o nim? Dzisiejsze uroczystości, oficjalne stwierdzenie zwycięstwa, wywołanego w wyżej zakreślonym czasie, byłyby sposobnością do żywego ustosunkowania się względem Słowackiego, nie tylko do deklaracji komunalów ad usum delphini i czerwono-kurkowej propagandy.

Prawdziwie żywy stosunek do poety nie czeka zresztą takich niezwykłych okazji. Wystawienie „Snu srebrnego Salomei” w ub. r. (podobno bardzo niezdarnie) wystarczyło, żeby Boy-Zeleński rzucił kilka ciekawych uwag o ukrainizmie Słowackiego (zbiegających się, o czym Boy nie wiedział, z poglądami jednego z uczonych w Słowackim, p. Baumfelda-Boleskiego, na ideologię utworu) oraz żeby Antoni Słonimski, z właściwą mu pasją i odwagą, wydał zuchwałą, lecz niepozobawioną trafnych rysów, ocenę poezji Słowackiego.

Można się było nie zgodzić z zasadniczymi tezami tej oceny, lecz należało je przedyskutować merytorycznie; zamiast tego uczepiono się lekkomyślnie niektórych rzuconych zdań i innych słabych stron, zrozumiałych w pośpiesznie pisanego recenzji), i zamiast ciekawej polemiki (choćby w tym stopniu poważnie traktowanej, jak spór „Pana Tadeusza” z racji ataku p. J. N. Millera, o ileż mniej w sedno sprawy trafiającego), byliśmy świadkami „karcenia śmiałka” i odgrywania się Słonimskiego, w ferwore obrony zapominającego, o co mu właściwie chodziło. A przecież niejedną sprawą zasadniczą była do podjęcia w jego artykule. Takie słowa, jak „zawrotna dowolność i zgubna płynność wiersza Słowackiego”, „kolorytyka Słowackiego jest często mdła, fałszywa, a nadewszystko banalna”; „perły, gołębie, pioruny, tęcze i błyskawice w tak obfitem napromienieniu przestają działać na oko i ucho”; obrazowości Słowackiego jest naganiona w porównaniu do „prostej i głęboko trafiającej w serce obrazowości Mickiewicza”; „niema w dziele Słowackiego ani siły wielkiego wzruszenia, ani rozumnej konstrukcji” — mogłyby służyć za punkt wyjścia do słusznej i rzeczowej oceny artysty Słowackiego, oczekiwanej oddawna, a co najmniej od książki Matuszewskiego, która jest obecnie już nie do przyjęcia.

Powtarzam: jeżeli Słowacki ma nie tylko prochem wrócić do nas, lecz mieszkać między nami jako poeta, musimy go przeczytać, osądzić na nowo; wspaniale rozkwitająca dzisiejsza poezja polska nie może się zadowolić wczorajszą formułą, wczorajszym podejściem do nieobjętej poezji leżącej za nią.

W tym obowiązkowym wysiłku nie może się krepować jakimikolwiek względami, jakimikolwiek strachem, jakkolwiek rewerencją. Zanim dotrze do tego, co ja właśnie wzbogaci, niech bez wahania odrucha to, co ja mierzi. Trzeba mieć przekonanie, że się znajdujemy wobec tak wielkiej organizacji poetyckiej, że walcząc z nią jak najacieklej, zawsze w jakiejś chwili ulegnie się nieoczekiwanemu jej przemocy, — i dlatego trzeba wy-

*) Tak np. p. Słonimski w pospiechu nadaje inne znaczenie moim słowom o „Księżu niezłomnym”. Ja powstawałem przeciw przypisywaniu autorstwa tego dzieła Słowackiemu, gdyż w porównaniu z oryginałem możemy tam znaleźć jedynie aplikację i tak już wybujałe tryady hiszpańskie, nie twierdziłem jednak bynajmniej, żeby Słowacki popsuł dzieło Calderona, i zawsze uważam go za kongenjalnego tłumacza.

żyć siły w walce. Zanim dojdzie się do ostatecznej postawy względem niego, — a czy się dojdzie? — jeśli prawdą jest, że współcześni zawsze wszystko już powiedzieli o poecie, to już ocena Krasieńskiego zawiera te same nadzieje i te same zwątpienia, — trzeba przejść przez trudności może nie do przezwyciężenia i przez złożoności może nie do rozwikłania: wieloplanowość aktywności emocjonalnej — nie myślę tu o symbolizmie jego dzieł, lecz o tem np. odczuwaniu melancholijnem jego ekstaz radosnych; jedne jego dzieła, niewyodrębnienie dzieł pojedynczych — nie myślę tu o stanie jego autografów, lecz o nie-możności odczuwania jednego utworu poza refleksami drugiego i nieodcięciu dzieła od twórcy, który sam, w najdorzalszych latach, jest wcieleniem poezji, duchem przelatującym przez ziemię z nieustannie wzywanym jej widzeniem, gdzie wszystko ziemskie wydawało się budziakami czepiającymi się surduta i zatrzymującymi w śtopowym przechodzie, gdzie każda strawa była posiłkiem ostatnim przed odejściem w zaświaty...

Z pośród gromady wspaniałych obłąkańców, którzy mimo hermetyczności ich języka musieli sprawiać na współczesnej Europie wrażenie apostołów judejskich na tle cywilizacji rzymskiej, a których ujęcie syntetyczne zamysłał może Stanisław Brzozowski w niezakończonym wspaniałym dziele powieściowym o emigracji, ten był najwspaniałej, najsugestywniej obłąkany, a jeżeli sugestia jego po „transfiguracji” w zeltknięciu się z nim przy badaniu podlec musiał Tretiak — niech mnie będą wybaczone odstąpienia od zamierzonych trzeźwych na artystyczne walory Słowackiego spojrzeń.

Spojrzeń jedynie cząstkowych, gdyż syntetycznego spojrzenia dopracować się nie mam nadziei. To pewna jednak, iż klasyczna, że tak powiem, lektura „utworów” Słowackiego z czterotomowego Małckiego jest czemś anachronicznym, i jedynie ze względu o osobistych ciekawych będzie i uroczym przemówienie ostatniego może takiego starożytnego czytelnika i wielbiciela poety, przemówienie, którego cała Polska w tych dniach wysłucha. Ale zawieszam pomiędzy starą i niepowstałą nową syntezą, już teraz przewidzieć możemy pewne wielkie poprawki dotychczasowych sądów. Myślę np., że nie będziemy w przyszłości mówili o Słowackim jako o świetnym „liryku”: liryk musi wyodrębnić określoną skłonność z nieskończoności swego natchnienia; do tego Słowacki w późniejszym okresie nie był zdolny, a liryki epoki wcześniejszej, np. „Smutno mi Boże”, dalsi, nie mogą być bez ujmę dla jego wielkości wysuwane jako tytuł do sławy. Późniejsze zaś — to fragmenty, które nie są utworami lirycznymi, tak jak kawałek morza nie jest Morskiem Okiem.

Za trudno byłoby mi się wdawać w analizę wiersza Słowackiego; wydaje mi się jednak, że nosi on na sobie jakąś skazę może „zawrotnej dowolności i zgubnej płynności”, jak mówi Słonimski, i że Słowacki, jako wierszopis przeceniony, nie jest doceniony jako prozator, mimo że wszechwiedząca o sobie i swoich współczesność ustami Krasieńskiego stawała mu pomnik jako autorowi „Anhellego”. Najwspanialszy to prozator przed Żeromskim, a może i przez niego nieprześcigniony w równostronnej doskonałości: gdy się czyta „Listy” czy „Genezis z ducha”, „Złota czaszka” czy pisma polityczne, wydaje się, że nikt od Sienkiewicza do Iwaszkiewicza nie nie stworzył, czegożby wiernych wzorów wieszczę już nie podał.

Najbardziej wydaje się mi powołana krytyka dzisiejsza do oceny obrazowania Słowackiego: w czasach niewątpliwego baroku w obrazowaniu poetyckim, w czasach rozumienia baroku jako pożądanego samodzielnego prądu, a nie jakiegoś upadku sromotnego wszelkich epok, w czasach wreszcie, gdy „barok polski” stał się stylem urzędowym budownictwa polskiego (a może i biurokracji polskiej), Słowacki i w stylu poetyckim i w rysunku osób działających i w ich dynamice może zostać należycie zrozumiany i oceniony przez analogię, jeżeli nie do naszej poezji XVII w., to przez analogię do sztuki plastycznych Hiszpanii i Włoch tegoż wieku. Inną miarą oceni się „perły, gołębie, pioruny, tęcze i błyskawice” w tak obfitem napromienieniu przestają działać na oko i ucho”; obrazowości Słowackiego jest naganiona w porównaniu do „prostej i głęboko trafiającej w serce obrazowości Mickiewicza”; „niema w dziele Słowackiego ani siły wielkiego wzruszenia, ani rozumnej konstrukcji” — mogłyby służyć za punkt wyjścia do słusznej i rzeczowej oceny artysty Słowackiego, oczekiwanej oddawna, a co najmniej od książki Matuszewskiego, która jest obecnie już nie do przyjęcia.

Najbardziej cennym sobą może się wydać właśnie w naśladowanych z Calderona utworach, on jakby w XIX dopiero wieku dany Polsce jej Calderon, pokorny plejadzie świętych naszego „średniowiecza”, XVII w., który, „nie mając swoich poetów znikli” bez śladu w artystycznym naszym dorobku. Wyeliminowane zostaną nieporozumienia w ocenie „Snu srebrnego Salomei”, mierzonego zwykle najzupełniej nieodpowiednią miarką, tak jakby kto kanon Rafaela stosował do dzieł Picassa. Słowacki będzie przedewszystkiem sformułowany jako przedstawiciel największego naszego, a może i europejskiego, w XIX w. baroku. Do tego jednak trzeba bezlitosnej naszego dotychczasowego sądu o nim re-wizji.

JULJAN WOŁOSZYŃSKI

Juliusza Słowackiego z Drezn do Londynu wojaż bryczką*)

*Jest dreźnieński poranek i kot na przpiecku —
Właśnie chciałem wiersz pisać, usiadłem przy biurku:
Jest pogoda lipcowa, kawa po niemiecku,
Aż tu słyszysz przez okno turkot na podwórku.*

*Oto szaraban kryty, bryczka na resorach,
Pisze mi (lecz nie bryczka, tylko Siostra miła),
Że jest chora, tem bardziej bawiac po doktorach,
I, abym jechał do niej, pieniądże przesyła.*

*Daleko bardzo mieszka, bo w mglistym Londynie,
Ale ja, extrapocztą jadąc w dzień i w nocy,
Na Lipsk, na Weimar, Erfurt, gdy mnie trafi ominie,
Pośpieszać się powinien Siostrze ku pomocy;*

*Dalej przez Eisen, Fulde, z postojem w Frankfurcie,
Przez Moguncję i Paryż, do Calais, przez morze —
Wtedy na pakebocie (więc usparty na burcie),
Lecz tutaj list się kończy słówkiem „W imię Boże!”*

*Tedy, nie myśląc wiele, tłumoczek pakuje,
W którym mało białizny mam, a wierszy dużo —
Drezno — odjeżdżający — przesłanicznym znajduje,
Jak wszystko, co się żegna, przed jakąś podróżą...*

*O dwunastej w południe Drezno już minione,
Jadę dzień do wieczora, jadę noc do rana,
Nad świtem jestem w Lipsku, to miasto zielone,
Ta nowa panorama zdaje mi się znana:*

*Może tak nad Krzemieńcem w górach jest zielono,
A może w śnie widziałem Lipsk o wschodzie słońca —
Patrząc bowiem, jak w blaskach lipskie dachy płoną,
Pomyślałem, że świat się powtarza bez końca!*

*Nad wieczorem stanąłem w goethe'owskim Weimarze,
Bryczka się jeszcze trzyma, a wciąż zmienia konie.
Tutaj, gdy nie przy piwie, wszystko blade twarze —
I jakiś duch goethe'owy ulicami wionie...*

*Przeprąglszy tylko konie, jadę w północ duszkiem.
Nocą przejeżdżam Erfurt i Saksgotę śpiącą,
Nad rankiem piję kawę w Eisenach z kożuszką,
Jadę między górami, jest bardzo gorąco.*

*W Fuldzie mi pęka koło, szczęściem nie wpół drogi!
Zanim powóz naprawią, popasam w gospodzie.
Okno pachnie ogrodem, wieczór jest za progiem —
Na noc jedziemy dalej przy gwiazdnej pogodzie.*

*Już świta, gdy dojeżdżam Frankfurta nad Menem,
Zmieniłem tam dwa weksle, to przyjemna funkcja:
Mając złoto w kieszeni, przepłynąłem Renem —
Ren i Złoto, jak w bajce! — piękna jest Moguncja!*

*O dzień potem przybywam do Metzu o zmroku,
Miasto iluminują i tłum na ulicach.
Mijam Verdun, prąd Marny, już Paryż mam w oku,
Paryż tonie w gazowych lampach, jak księżycach.*

*Mój postyljon zacina konie, jak Feb jaki —
I dudni moja bryczka na paryskim bruku.
Z Paryża dyliżansem ja i moje saki
Jedziemy... Oto morze, poznam po fal huk!*

*W Calais bowiem, w Odesie — morze jest jak morze!
Ale statek parowy odjechał beze mnie —
Złoto Renu za weksle zginęło, mój Boże...
Zato jechać na własnym statku — jak przyjemnie!*

*Kiedy wpływam do Doveru, pytają Anglicy,
Cóż to za korsarz taki? prywatny parowiec?
Jestem dumny jak korsarz, smutny, bladolicy:
Prześliczna jest ta Anglia, pełna traw i owiec!*

*Murawa tu zieleni się i czerwienią piasek.
Oto jestem już prawie u celu, w Londynie!
Jeszcze ten jeden mostek, jeszcze jeden lasek —
To już Londyn, lecz cel gdzie? cel płynie i płynie...*

*) Dn. 25 lipca 1831 r. Juliusz Słowacki, bawiący podówczas w Dreźnie, otrzymał od Rządu Narodowego rozkaz udania się z listami do Londynu (przyp. autora).

MARJA-JEHANNE WIELOPOLSKA

W O L A

Cóż można wśród wielkich mówić o wielkim? W oddaniu hołdu przeciw i tak wszyscy stoimy. Wszyscy. Zespół niebawym. Zwartość szczególna. Jedynolność zastanawiająca.

Jak się to stało? Siedemdziesiąt osiem lat leżał poeta na obczyźnie. Od czasu do czasu zbierał się jakiś komitet „sprowadzenia zwłok”, zbierały się jakieś pieniądze, potem wybuchala niezmiennie polemika, gdzie ma poeta w kraju spoczywać, przerażać się polemiką w zadają kłótnie, potem komitety się rozwiązywały, pieniądze się dewaloryzowały, i — poeta dalej spoczywał samotnie na obcej ziemi. Została garsteczka ówczesnej makulatury. Pisma prof. Tretiaka dowodzące, że poeta nie był wcale poetą, odczyty p. Antoniewicza, że nie może w polskiej świątyni spocząć ten, „co przyrównywał łysinę do Hostii”, pacyficzne pocieszenia p. Zygmunta Wasilewskiego, że dobrze jest panu Bogu świeczkę, a diablów ogarek, i t. d.

Nagle — bez hałasu, bez fanfar komitetowych, bez zbiorów ulicznych, padło oznajmienie: *Słowacki wraca do Ojczyzny*. Zaledwie się ludzie mieli czas zorientować, zaledwie zakasali w Polsce rękawy do walnej debaty: czy, jak, kiedy — powtórzył się znak tajemny, i oto poeta

ekshumowany już płynie ku rodzinnym wybrzeżom, już jedzie, i to w chwałę bezspornej, wprost na Wawel.

Czyja wola była tak silna? czyj rozkaz wewnętrzny zamagnetyzował cały naród? Od jakiegoś czasu Polska tak na wykład, że wola czyjaś przemożna, tajna a znana każdemu, bierze za łeb wszystkie jej sprawy, wszystkie resorty jej życia zewnętrznego i duchowego, że nawet nie zwrócono uwagi na ów fakt dokonany z piorunującą energią.

Przeczytano bez uwagi wielkiej, że Piłsudski wysłał list odręczny do biskupa Sapiehy o miejsce na Wawelu, ktoś tu i ówdzie słyszał, że Piłsudski nie zostaje się z Słowackim — ba! że w chwili kiedy przyszedł mu adiutant meldować o atencji Januszajtisa na Belweder, on najspokojniej Słowackiego czytał właśnie — że piękne ma pamiątki i autografy tego poety...

Czyśmy się kiedykolwiek zajmowali psychologią naszych wielkich ludzi? Dopiero po ich śmierci, po jakich latach i latach będą się skryby popisywały wiadomościami i ekspertyzami. Jakże fachowo wykażą, wywiodą, dowiodą o dynamice woli jednostkowej gwałcącej narody! jakże uczoną przeciągną paralelę między samotnym grobem na Père-Lachaise a warszawskim Belwederem!

ZOFJA NAŁKOWSKA

Myśli o „Kordjanie”

Z komentarzy, które do tego dzieła Słowackiego dodaje jego biografia, wynika, że „Kordjan” jest niejako legitymowaniem się poety z jego bezczynnością w akcji 1831 r., wyrazem zastrzeżeń i usprawiedliwień, próbą rehabilitacji. Współzawodnictwo z autorem „Dziadów” było tu podobną raczej mechaniczną natury, motywy twórczy leżał głębiej, w dręczącym niepokoju sumienia.

„Kordjan” stanowi dokument jeden z najświetniejszych owej rozterki, która zakrwawiła serca wielkich pisarzy naszego romantyzmu, serca bohaterskie i waleczne, a przecież podległe zwątpieniu. Wyraża dramat tych, których oskarżał Golszawski, że

„Za Polskę walecznie umierali w rymach,
Bez rozlewu krwi drogiej, po Dreźnie
i Rzymach”.

U Mickiewicza antycypacją niejako tego wewnętrznego dramatu woli jest „Wallenrod”, i z nim to, nie z trzecią częścią „Dziadów”, należałoby zestawiać „Kordjana”. Problemat czynu konkretnego, orężnego, i jego psychiczne korelaty nie grają żadnej roli w „Dziadach”. A Wallenrod jest właśnie męczennikiem czynu, jego praktycznego wykonania. Idzie on dalej, niż Kordjan, bo czyn spełnia, — ale spełnia go naprzekór sobie, wbrew wszystkim znużeniom i tęsknotom duszy, spełnia go z obrzydzeniem. Z natury swej, jako typ ludzki, nie jest Wallenrod bardziej *człowiekiem czynu*, niż Kordjan. Jak ten, posiada i tamten swe zwątpienia, reakcje, nudy i smutek, co mu właśnie, jako bohaterowi, tak bardzo zle miał już Mochnecki. Mochnecki nie chciał wiedzieć, że właśnie „sentymalizm” scen z Aldona czynił ofiarę Wallenroda tem cenniejszą, tem bardziej bohaterską. Wprawdzie urok szczęścia domowego niknie wobec zguby kraju, Ale z chwilą dokonania zemsty zamierzonej powstaje najgłębszy smutek czynu. Gorczy spełnionej ofiary budzi żal za szczęściem utraconem („Zapomnieć, że są na świecie narody”). Cała waga poematu, piękności jego, głębin i bogactwa tkwią tam właśnie, gdzie Mochnecki widział błąd.

I „Kordjan” zakwalifikowany został przez krytykę jako nieudany Słowackiego sen o czynie.

Ogniskuje on przecież w sobie cały kompleks zjawisk psychicznych, związanych z problematem czynu. Problemat wikła się tem bardziej, że oglądany jest od strony człowieka, do czynu — wedle orzeczenia krytyki — niezdolnego, Kordjan w momentach najwyższego napięcia energii czynnej umiał swój smutek zaledwie zamknąć w *sercu tajemniczym*, ale nie umiał go przezwyciężyć. Niewątpliwie jest, że dla wielkich twórców typ człowieka czynu bez zafama i niemocy nie był dostatecznym materiałem do arcydzieł. Najbardziej bohaterkie zmagania się z wrogami potęgami świata zewnętrznego wydają się proste i powierzchowne, jakby niedostateczne dramatycznie, — w zestawieniu z owymi śmiertelnymi zapasami, które za teren mają duszę człowieka. Choćby te stające przeciw sobie skryte siły ducha wytworzyły w rezultacie to, co od zewnątrz widziane jest tylko „niemocą czynu”.

Problemat czynu, zawarty w „Kordjanie”, jest nam szczególnie bliski dzisiaj właśnie. Czyn jest modny — zarówno w życiu jak w filozofii i literaturze.

Czyn ma powodzenie. W kulcie dlań jednoczą się dziwnym sposobem zarówno typy hamletyczne jak fortynbrasowe. Hamletyczne dlatego, że subiektywna nie-moc czynu nie wyklucza uwielbienia dla niego. Cechą natur refleksyjnych, skomplikowanych, pozbawionych woli — jest niezadowolnienie z siebie, skłonność do wątpienia o sobie. Tęsknią one rousseau'icznie do przyrodzonej pierwotności, do jednolitości i siły, do czynu. Dlatego mówi Kordjan tę nieprawdę:

„Ani się waham, myślą przecięty
na dwoje,
Jestem cały i jeden...”

Z drugiej znów strony natury prostsze i czynne są właśnie naogół rade sobie, cenią to, co stanowią ich przewagę, — swoją zdolność do czynu praktycznego, tę swoją jedyną władzę nad rzeczywistością.

Stąd między wyznawcami czynu widzimy jednych i drugich.

Nieczyste sumienie naszych romantyków wynikało z tego podłoża, z hamletycznej tęsknoty do czynu konkretnego, orężnego. Nie chcieli, aby poezja ich była ucieczką od rzeczywistości, ucieczką od życia. Walczyli z natrętnym widmem zarzutu, że ich czyn twórczy to są tylko słowa, słowa, słowa...

Jakże ciężko było słuchać tego wezwania, które do Mickiewicza, „bawiącego w Rzymie podczas wojny narodowej”, stał Golszawski:

„Wieszczu czczony!

Dowiedz pieśnią i czynem,
Żeś też wielkiej ziemi synem!
Niechaj cie wrog jej pozna i w pieśni
i w cięciu!

Spiesz, dalekie rzucaj Rzymy,
Spiesz, bo jeśli zwyciężymy,
Wstyd będzie bez zasługi polskim
techną oddechem!”

W szpitalu warjatów Doktor mówi do Kordjana:

„Naród ginie, dlaczego? Aby wieszcz
narodu
rzym odlewał...”

Widzisz, jak cenię wieszczów
gromowładne plemię!”

A Kordjan replikuje słabo:

„Nie, to nie tak... Inaczej...”

Sprawdzianem idei była dla nich jej inkarnacja w czynie. I dziś jeszcze według Jamesa *czyn sądzi myśl*.

Istnieje przesąd, że rzeczywistością jest to tylko, co posiada wymiary. Dlatego przez czyn rozumie się zwykłe czyn praktyczny, konkretny — który się dzieinnie twórczości duchowej przeciwstawia.

Tymczasem rzecz odczuta jest już rzeczywistością. I może nawet jedyną rzeczywistością rzeczy „istniejących” jest to, że je odczuwamy. — Poezja więc nie przeciwstawia się czynowi, lecz jest z nim równoległa. Nie jest ucieczką od rzeczywistości, lecz pośród rzeczywistości własnej działa.

Myśl, słowo, formuła — to są siły, kształtujące mechanizm rzeczywistości, siły rewelacyjne, modyfikacyjne i twórcze.

Ale zapomina się o tem w chwilach, gdy czyn konkretny wypienia teatr dziejów, w epokach rewolucji lub wojny. Tęgo charakteru nabiera on też wówczas w samych dziełach twórczości poetyckiej i umysłowej. Literatura zadawała się rolą komentarza do rzucanych bomb albo karmi się polyskami szabli i melodjami żołnierskich piosenek — „zagrzewa”, „krzepi”, „podnosi”. Filozofia zaś postępuje myśl na korzyść czynu.

Tak dzieje się w naszej rodzimej odmianie bergsonowskiego dogmatyzmu czynu, w filozofii Brzozowskiego. Ten charakter mają najnowsze postulaty, stawiane literaturze przez krytykę. Ale poddane wszelkiej twórczości ducha interesom „pracy” i czynu prowadzi do konsekwencji, że podkucie konia jest donioślejszym aktem woli, niż wypracowanie w sobie nowego stosunku do świata i danie mu wyrazu, że jedno *działanie* *bagnetem* waży więcej, niż napisanie „*princypiów*”.

Ani myśl, ani słowo nie są ucieczką od rzeczywistości. Nie jest nią także i marzenie.

Życie nadcodzienne, pojęciowe, konwencjonalne jest czemś właściwym o biegu dziejów decydującem. Kierunki, mody, prądy społeczne, stronnictwa, formy władzy, kodeksy — to są zjawiska, zachodzące na tej samej płaszczyźnie, co marzenia.

Przeceniając pewne wartości na niekorzyść innych, marzenie zmienia prawa ich równowagi w życiu społecznym. Życie zbiorowe nie wyczerpuje się zagadnieniami wypasania łąk, tepienia zwierzyńca, a nawet opania pól, kucia żelaza i kucia koni. Na całym układzie sił społecznych może zawazić zajęcie przez jednego człowieka takiej a nie innej postawy wobec świata.

Marzenia prawodawców i religijnych proroków zmieniały oblicze ziemi bardziej, niż czyny wodzów. Z czynów Mahometa przetrwało właśnie jego marzenie, z czynów Napoleona — kodeks.

Dlatego wolno twierdzić, że zgryzoty sumienia naszych romantyków, że ich przeklinanie pieśni, aby wstawały czyny, — nie było usprawiedliwione.

*

Jeżeli zważyć, ile razy w dziejach czynu bagnet, skierowany ręką żołnierza w pierś wroga, dopinał swego — to fakt, że Kordjan czynu tego nie spełnił, nie można kwalifikować tylko negatywnie. Nie spełnił czynu, który zamierzył był w najwyższym napięciu ofiarnej egzaltacji, któremu oddał życie, którego idei (w dramacie) sam był twórcą. Kordjan jako typ bohatera jest wyższy i bogatszy zarówno od tych, którzyby zamach bez wahań wykonali, jak od tej większości spiskowych w podziemiu, którzy mu się bez wahania sprzeciwiają. Siły ducha nie są mniejsze przez to, że ścierają się ze sobą. Można być pokonanym przez własną potęgę uczucia i przez własne bohaterstwo.

Czyn, przed którym cofnął się Kordjan, mógłby być przecież zostać spełniony przez byle żołdaka, gdyby ten otrzymał był taki rozkaz — np. od księcia Konstantego (co właśnie w dramacie przypuszcza Car). Bo w tym wypadku żołnierska karność bez trudu osiągnęłaby przewagę nad odrzą do mordu.

Tę odrzę straszną malują słowa, szepcane w zmaganiu się śmiertelnym u progów Cara:

„Rozgniotłes węża pod sobą,
Pękła zmija”.

Potępiany zwykle za niemoc czynu, Kordjan osiąga w tych właśnie momentach niesłychane napięcie siły dramatycznej. Jego walka ze sobą obnaża istotę bohaterstwa.

MIECZYSLAW BRAUN

DUMA O SŁOWACKIM

*Za porohem, hen po Dnieprze
Płynie czajka w wodnym wietrze,
Pluszcze fala, szepce trzcinie:
A jakoż to czajka płynie?*

*Kto na niskiej usiadł burcie,
Szuka bezdna w krętym nurcie,
Po niezmierzy, po roztoczy
Oczy smutne sennie toczy?*

*Tratwy spławne, huczne promy
Mija obcy, nieznamy,
Z wiem siewnym płynie śpiwny.
Wodom-snom najbardziej krewny.*

*Hej, żeglarzu! zawiń, przystań!
Cicha ciebie czeka przystań,
Śród zieleni, w topól wieńcu
Jasny dworek przy Kamieńcu...*

*Na Ukrainie za stępami
Słońce leje się strugami!
Wyczekuje poczta gości, —
Rak matczynych serdeczności!...*

*Czemuś w głębi wzrok utopił,
Czy cię miodny szaleł opił,
Jaka siła w dal cię goni,
Że wyciągasz ręce do niej?*

*Czerwień słońca ścieka z wody,
Wyszły srebrne horowody,
Serce gwiazdy nie wysłowi...
Komu jedziesz?... księżycowi?!*

*Pogardziłeś miłym domem,
Wyteśniony za ogromem,
Głębną wodą, trudną drogą,
Czemu płyniesz — do nikogo?*

*A ty pieśnią, słów okrucem,
Umiesz mówić z Bogiem - Duchem,
Piorun w ustach serce męczy,
Przekrojone łukiem tęczy...*

*Zaśpiewali ci anieli
(Anioł nazwał się Anhelli),
Zaśpiewali, wydzwonili
Moc i chwałę wiecznej chwili.*

*Na tym brzegu pod gwiazdami
Wołamy cię: zostań z nami!
Ponad życie — słowo mniejsze,
Serce błędne — najwierniejsze...*

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

KRÓL-DUCH

*Kiedyś, smutny wędrowiec, rozstał się z Ojczyzną,
Ciągnięty białym żaglem do Arabów ziemi,
Poniosłeś na pustyni piasek Polskę żyzną
W oczach najposępniejszych między posępnymi.*

*Nie mogła nic modlitwa dziecka, ani matki...
Sto mil od brzegów Polski, chmurny, obłąkany,
Myśłami, jak rękami, rwałś polskie bratki
I niezapominajki — kwiaty zapomnianych.*

*Pod palmą rzucającą chłodu srebrny wieniec
Na rośnię od upału, zadumane czoło,
Słyszałeś, jak dzwonami modli się Krzemieniec,
Zamknięty w blask wieczorny, jak w miedziane koło.*

*I było coraz smutniej, było coraz gorzej
Oczom spragnionym Polski, uszom — polskiej mowy,
I łkałeś pod brzemieniem złej niełaski bożej,
Spowity w mrok rozpacz, jak w płaszcz haroldowy.*

*Szamać się ze snami, jak — ludzie niezdrowi,
Pragnąć ogromnej sławy, jak czystego źródła,
I zdobyć ją, gdy pustym dźwiękiem jest duchowi
Wspartemu na wieczności: oto dola Twoja.*

*Wrócony dziś Ojczyźnie po niewoli latach,
Mniej smutny, mniej samotny, chociaż bardziej błądny,
Bądź, święty Prochu, świętem przykazaniem dla tych,
Co pragną iść w Twe ciężkie, Twe głębokie ślady.*

*Tykanie, Królu-Duchu! Przepał, zbudź nas sobą,
Aby, jak Ty, skrzydlata była nasza mowa!
Płomienną, nową treścią natchnij Polskę nową,
Daj słowom naszym duszę, duszy naszej — słowa!*

JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI

CHMURA ZWROTEK

W roku tym piszą wiele o Słowackim uczeni, badacze, znawcy, wtajemniczeni w literę mistrza. Albo też nasi poeci, którym lot zwrotki, dźwięk rymu i puls rytmu bliższy jest, niż prozatorowi.

Powyższe względy mając na uwadze, wolę zwierzyć się poprostu z tego, co wiem o Słowackim, co mi z nieśmiertelnego poety zostaje w czasie pracy i mozołu powszednich dni.

Nic dokładnie nie wiem o Słowackim, — jak o pięknym dniu letnim nie wiem, ani o dniu zimowym, ani o wiosnie, gdy staje pierwszy raz w ramach naszych okien. Ani jak nic dokładnie nie wiem o miłości.

Gdy przychodzą piękne dni letnie, twarde dni zimowe, gdy spadają potoki miłości, zanurza się w nie człowiek, trwa. Muszą wreszcie minąć te uroki, a potem dalej plecie się pasmo swojej pracy.

Otóż tak właśnie przychodzi, czy też raczej nastaje w mem życiu Słowacki. Jedna, dwie godziny, kiedy się szukało czegoś innego na półce, i oto nagle wpadły w ręce te wiersze i przeleciała człowiekowi przez oczy długa smuga tęczy.

Albo jak kiedyś w czasie wojny, czego nigdy w życiu nie zapomnę: gdyśmy w ziemi lubelskiej chyba, pod Polówkiem, na pobojowisko niedawnego szturm wkraczali. Musiał tam być złapać Rosjan karabin maszynowy, cała bowiem kompania kłęczała już na wieki, w świeżo wykopanych wnekach.

Jeden z „Rosjan” owych leżał skrąwionem czołem na otwartych stronicach niewielkiej książeczki. Wyjąłem mu tę książkę z pod głowy i zacząłem czytać — krwią polepione strofy „Beniowskiego”.

Słowacki w lekturach mych i zajęciach przychodził zawsze nagle, nieoczekiwanie. Nigdy sam poety tego nie szukałem.

Zazdroścąc profesorom, jak J. Gw. Pawlikowski czy Kleiner, ludziom nauki i konstruktywnego natchnienia, że tyle mogą wiedzieć o Juliuszu. Że odtwarzają wiązadła ukryte, na których wznosi się całe to olbrzymie niebo światła, tęczy i polotu.

Mam wrażenie, że my „pisarze linjowi”, walczący, t. j. ludzie, którzy mówie polskiej i obyczajowi pragniemy przyznać chociażby po kilka dobrze ustawionych słów, zdań lub postaci, — że nie możemy i nie umiemy czytać dawniejszych mistrzów.

Zwłaszcza takich, jakim był Słowacki. Może się tam na wysokościach nieśmiertelności zzymają wielkie znaki najwyższego natchnienia polskiego, iż gdy o jednym mowa — zaraz drugiego wzywamy na świadka. Sądzę jednak, że tym sposobem w strefie zasług idealnych wyrówna się właśnie przepaść, która jakoby dzieliła ich w tem życiu.

Jakże więc, gdy mowa o Juliuszu, Adama nie wezwać na świadka?!

W rozumieniu mojem — Mickiewicz jest powszechny. Powszechny, nieodzowny, jak woda, szczęście i powietrze. W strefie Mickiewicza, poddawszy mu się nawet całkowicie, można żyć swoim własnym życiem. Bezprzykładna, nieporównana, czarodziejska dobroć tego wieszczą sprawia, że w ogromie jego mieszcza się wszystkie przebaczenia.

Słowacki bardziej chciwy i wyłączny mi się zdaje. Natarczywy bardziej i osobisty, w sensie gwałtownej żądzy władzy.

Nie wyobrażam sobie, bym zajęty własnymi pracami, mógł usiąść z całym opusem Słowackiego i bym mógł czytać jednym tchem, jednym tchem radości, radosnego cierpienia i nieustającej pociechy, — jak mogę czytać Mickiewicza.

Może tylko z wyjątkiem „Listów do matki”. Przez prozę tych listów leci wątek powagi, jakiego nie masz częściej w piśmiennictwie narodu, niż raz czy dwa na długie setki lat. Przez prozę tę przesuwa się naprawdę — sprawa wiecznego człowieka.

Mówmy jeszcze o dziełach: „Beniowskiego” zgola czytać nie mogę. Dręczy mnie brak budowy, dygresje, nuży nadmiar bogactwa, rzucanego jak gdyby bez celu.

O dramatach Słowackiego nie możemy rozprawiać: dzieje im się w Polsce ogromna krzywda! Dramat takiego poety jest dziełem przeznaczonym dla sceny.

Musi tak być przecie, — poeta gesty pokazuje, niech lud patrzy.

Oczywiście, można te twory czytać, sądzą jednak, że winien tu być raczej wywołany ów akt zbiorowego skupienia, z jakim zasiadamy w teatrze, na widowisku, „w ciemnej paszczę podobieństwa”, wpatrzni w czworogranny wymiar sceny, zjawą i słowem zapelnionej.

Czyż widział kto na scenie postawiony dobrze taki dramat?!

Ludzie wtajemniczeni w poetę wymieniają na pierwszym miejscu zazwyczaj: — „Król-Duch”, „Anhelli”.

Pamiętam jakieś zdania z „Anhellego”, płonące jak ogień. Pamiętam mróz straszliwy, w którym ten ogień drży. Całość jednak tej prozy przedziwnej, jak całość „Króla-Ducha”, nigdy nie trafiła mi do przekonania.

Opowiadał mi niedawno Paradowski o pracy i zasługach Jana Gwałberta Pawlikowskiego względem Słowackiego. O wszelakich wyjaśnieniach „Króla-Ducha”. Wynika z tego zapewne — niezmiernie wiele. Wewnętrzna jednak treść swych umiowań i tęsknot nie chwytam tych rzeczy.

O wykreślenie jednego wiersza Mickiewicza gotówbym zarządzić mobilizację (w moim królestwie „Gdyby”) i toczyć krwawą wojnę.

O „Króla-Ducha” — nie.

Dlaczego?

Może dlatego, że należałem do pokolenia, którego wódz z pod znaku Słowackiego wyszedł i przeprowadził całą sprawę tego słowa ogniem zwycięskim i krwią.

Może więc jest to reakcja wnuków wobec wielkiego dziada? Słowacki wszystko o nas wiedział — lecz my byliśmy czemś znacznie dosłowniejszym? Jako spiskowcy, legjoniści, byliśmy już częsteczkami realnego czynu?

A może we wspomnianych utworach nie wielbię Słowackiego z powodu wielkiego pragnienia, jakie odczuwam, gdy chodzi o literaturę naszą, — pragnienia pewnej, ściślej formy? Z wszystkimi atrybutami wszystkich formalności.

Przecież „ich syn”, Wyspiański, byłby chyba Homerem świata, gdyby go byli nie obarczyli nadmiernie i gdyby nie potrzebował być odwalac wszystkich „romantycznych kamieni”?

Reakcja przeciw romantyzmowi? Oczywiście — zawsze. Nie przeciw jego ideom naczelnym. Niemasz lepszych. Reakcja przeciw brakowi realności w słowie.

Wszystko co mówię — to konsyderacje trzeciego rzędu. Nie dotyczą one w żadnym sensie wielkiego poety.

Przeciwnie. Raczej mnie samego obciążają.

Jako kalibana, kreta, skałotocza codzienności.

Myszę czasem, że właśnie jestem kaleką, budującym nędzny, mały murek, podczas gdy inni latają po świecie swobodnie. Ale chyba może być w literaturze polskiej, pod rozwiniętym blaskiem tęczyowych skrzydeł, gdzieś tam w szczelinie ziemskiej i taki gnom mały.

Tem bardziej, gdy wie, że kara go nie minie.

Pelen pracy dzisiejszej, walczyłbym z cieple z „wzlotami”. Czuję jak gdybym miał plecy odparzone od noszenia cegły, ręce spalone wapnem a oczy żarte kurzem mej budowli. Stoję przy robocie — i nie mam czasu na podziwianie świątyni.

Wiem jednak, że przyjdzie ów chłodny dzień starości, gdy murku lichego nawet nie wykończysz, podniosę oczy w górę.

Wtedy nastanie w życiu mojem — era Słowackiego.

Będę chodził po jego pałacach, zgrybiały, przerażony, niepotrzebny i olśniony.

Otóż on! — Naród cały prowadził. Po jednej stronie równe serce Mickiewicza, po drugiej on — błogosławione szaleństwo.

My pośrodku, na dole, w zachlapanych, podartych fartuchach, z krzywą kielnią w ręku, nieporadnie patrzący ku niebu.

Aż tu nagle wzbija się cała chmura zwrotek, a przez te zwrotki, smugami złocistej jasności, leżą wieki!

JERZY LIEBERT

B A J K A

*Gdy z ziemi cudzej wreszcie dobyty,
Przypłyniesz ku nam rzecznym korytem,
Na progu staniesz, swoich przywitasz —
Napewno wtedy będziesz się pytał:*

*Jakżeście żyli, jakże się działo,
Gdy z każdej między w oczy wam wiało,
Lęk nieustanny, niepokój miałem,
Czy w domu wszystko, czy w domu cało?*

*Kiedym was odbiegł, chodziłem wokół
Po różnych krajach z płomieniem w cku,
Nie mogłem spocząć, powstrzymać kroków,
Jednego tylko tęskny widoku.*

*Gdy ku domowi zwracałem głowę,
Widziałem nad nim chmury gradowe,
Zwały kraczące, ciemno-wiorstowe...
Chciałem je mojem odpędzić słowem!*

*Chciałem wam chociaż zdaleka pomóc —
Biegłem naprzeciw gońcom hiobowym,
Z chmurą, stuwichrem przy blaskach gromu
Walczyłem w barwach naszego domu.*

*Myslałem błędny, że ktoś z domowych
Podłucha moje z sobą rozmowy,
Niedomówione słowa podpowie,
Wichry, sny czarne zdejmie mi z powiek.*

*Cudowną wodę rodzinnych dolin
Do ust przyłoży, z czarów wyzwoli,
Że wyprowadzi z zaklętych stolic
Na drogi dobrze znanych okolic.*

*Tam mi doręczy ziele nad ziola,
Przed którym nic się oprzeć nie zdoła...
Daremniem czekał... W kredowe koła
Wdarł się sen wielki, sen mnie pokonał.*

*I śniło mi się, że gdy grom zamilkł,
Przyszli mnie szukać, idąc śladami,
Że wracam wreszcie godzić się z wami,
Odnaleziony między słowami...*

*I w wieczność moją, w mój sen głęboki
Wbiegły wiślane szepty, potoki,
I sam widziałem moje obłoki
Odbite w wodzie — trudy wysokie!*

STANISŁAW BALIŃSKI

Zaginiony ślad

*Na Libanie w dzień miętą pachnący i makiem,
W ogrodzie ubielonym migdałowym majem,
Rzekł siwy Arab do mnie: — Ty jesteś Polakiem.
Wiem. Jedziesz z kraju, który poetów jest krajem.*

*Wiem od ojca, co kraj twój w głębi serca pieścił
I wspominał nam zawsze o jednym Polaku,
Który tu niegdyś wiosną żył przez dni czterdzieści
W klasztorze misjonarskim przy cedrowym szlaku.*

*Miedzy morzem Lewantu a cichym klasztorem
Błąkał się ów poeta, ach, przed wielu laty,
Malował z tego miejsca widoki i kwiaty;
Szeptano o nim cicho, że ma serce chore.*

*Nigdy się nie uśmiechał i blade miał lica:
Że musi cierpieć — mówił — za kraj i za wielu,
Że cierpienie nie wzmacnia, miłość nie nasyci,
A dalekie podróże i jazdy — bez celu.*

*Gdy odjeżdżał, zakonni na pamięć mu dali
Butel szklany, co cenny mieścił w sobie trunek;
Ojcu, który niósł butel, darował rysunek,
Ręką pożegnał góry i pojechał dalej.*

*Lecz ojciec nie zapomnił. Bo nie zapomina
Się poetów, — zawołał pobożnie Beduin, —
Ojciec dawno już umarł. I rysunku niema.
Z klasztoru został cyprys i wianuszek ruin.*

*I pamięć ma. I ścieżka, co gałązką białą
Rozwija się ku morzu. Wszystko co zostało.*

*Od tej wiosny minęło wiosen coniemiarą,
I tysiące księżyców wschodziło na schadzki,
Nazywał się... nie pomnę już... zaczekaj... zaraz...
Słowacki!*

**W następnym numerze „Wiadomości”
wiersz Balmonta „Słowacki” w prze-
kładzie Podhorskiego-Okołowa**

ANTONI LANGE

O WAWELU*)

Przed Juljuszem Słowackim Wawel jest zamknięty,
I słusznie. Nie tam spocząć ma ten duch wykłęty.
Bo każdy naród — wieszczów ma rodzaj dwojaki:
Jedni go wiodą w niebios promieniste szlaki —
I potęgą harmonji orlą i słowiczą
Krzepią ludy, co po nich moc życia dziedziczą — —
Błogostawieni!

Drudzy — to wykłeci wieszczu,
Co noszą narodowi przeraźliwe dreszcze,
Ogniami swego serca jego duszę gryzą:
Czarny anioł jest żywą pieśnią ich dewiza,
Wygñani z raju czystej świetlanej harmonji,
Wiją się zrozpaczeni we łzach i w ironji,
Sieją dokoła gąszcz namoغيلnych kwiatów,
Jadawite rozkosze sennych aromatów,
Czarne różę zwątpienia, straszne niby skarga —
Wieczysta, co po trzewia same cię zatarga.
Nie dla nich święty mogił spókoj — i bez celu
Niezamarle ich prochy składać na Wawelu.
Bo to jest grób Adamów, duchów wiebowiętych.
Nowy zbudujcie Wawel dla bogów wykłętych,
Co przez manowce męki wiodą lud w wyżyny.
Niech upadłych aniołów odrącone syny
Kładą cegły pod Wawel wieszczów odrąconych,
Których moc zachowana dla neuorodzonych
Dni jutra... Tam niech spocznie ta wykłeta dusza —
Tam niech stanie samotny grobowiec Juljusza!

*) Wiersz — dziś nieaktualny — pisany w 1909 r. z powodu sporów owoczesnych. Nigdzie dotąd nie drukowany.

EMIL BREITER

WSPOMNIENIE SZCZĘŚLIWSZEJ PRZYSZŁOŚCI

„Więc przebaczenie mi, Polacy, że się dobijam o jedno z niższych miejsc we wspomnieniach szczęśliwszej kiedyś przyszłości” — pisał Juljusz Słowacki w ostatnim zdaniu przedmowy do trzeciego tomu swoich poezji. Dwa pierwsze utonęły w otchłani milczenia, która ja połknęła. Dokoła młodego Słowackiego starano się jak gdyby stworzyć sztuczną ciszę. W spisku tym brali udział nie tylko następcy Osińskich i Koźmianów, ale i ci poeci, „którzy podobnie do ministrów politycznych, związawszy się niegdyś razem z opozycją przeciw Koźmianowi i Osińskiemu, osiągnęli berło i dziś są, równie przeciwko nowym autorom, partją Osińskich i Koźmianów”.

Juljusz Słowacki walczył przeciwko jednemu i drugiemu, przeciw koteryj klasyków i klicie romantycznej; walczył swoim genjuszem, swą samotnością, swym nigdy niefałszowanym rewolucjonizmem ducha.

Ślady tego zmagania się z niechęcią, snobizmem i wyniosłością idą poprzez całą twórczość tragicznego poety. Od pierwszych jego wystąpień, „artystowskich tylko”, aż do potężnych wizji „Samuela Zborowskiego”. Słowacki określał się — przeciwstawiając. Jego genjusz był genjuszem opozycji i buntu. Przymierzając własne możliwości do każdego odjawu artystycznego z zewnątrz, możliwościom swoim dawał kształt jeszcze świetniejszy i jeszcze doskonalszy. Porównując siebie — wygrywał; współzawodnicząc — zwyciężał; demaskując apostołstwo — stał się sam apostołem.

Niema rzeczy mniej popularnych nad rozprowadzanie o własnej krzywdzie. Nic tak nie budzi podejrzeń i nie skłania do insynuacji, jak wola detronizowania bóstwa w imię własnej boskości. Ale jeżeli boskość ta istnieje jako element rzeczywistości psychicznej, jeżeli posiada swoją twarz, która wyraża się w tworzeniu, — to niema takiej siły, ani woli, ani sprzyświeżenia, ani niczego na świecie, co mogłoby boskości tej na drogach wieczności zaprzeczyć.

Słowacki zwyciężał z niesłychanym trudem, ale z nieubłaganą logiką. Z taką logiką, która może nas — krytyków — pogodzić z krzywdami i powierzchownością dnia. Zwyciężał ogniem, jak i w nim płońał, genjuszem jawiszewidzenia, „artystowskim” rytmem swojego serca i tym, jakże nam dzisiaj drogim, stosunkiem do prawdy artystycznej.

Walka z niechęcią i przemilczaniem, walka z krytyką i emigracją, z Mickiewiczem i towiańszczyzną, była walką genialnego umysłu o uznanie swoich wartości. Nie podobalo się to ówczesnym, ani przecietnym, ani tym, którzy górowali duchem. Przeciety — bo szli w ogonie wielkości, wielkim — bo wielkość wielkości nie znosi, nie uznaje i nie rozumie.

Apostolstwo Słowackiego nie było programowe. Był to grzech, którego mu nie mogli zapomnieć ani jego współcześni (cała emigracja), ani znacznie późniejsi (Tretiak). Narastało ono w nim, jak wyrasta owoc z kwiatu, ewolucyjnie, biologicznie, poprostu. Bez manieri dekoracyjnej, w najcięższej walce ducha, który samotność swą okupywał mądrością.

„Świat myśli jest tak obszerny, że można w nim wyciągać nieotwarte granicami ramiona.” I dlatego pierwszą reakcją Słowackiego była walka przeciw temu, co nazywał narodowością poezji. „Myli się ten, kto sądzi, że narodowość poezji zależy od opisywania narodowych

JAN PARANDOWSKI

*

*

*

Słowackiego czyta się dzisiaj mało, i ludzie, którzy czują się niezaspokojeni bezdusznymi książkami, jakich pochłaniają tak wiele, omijają strmień, co może ich połączyć z wielkimi żyłami życia. Jest to właściwie doba zmierzchu. Nie da się tego ukryć ani pod splendorem uroczystości ani pod oficjalnym uwielbieniem belfrów. Niegodna jest poety żadna inna pochwała, prócz tej, co płynie ze szczerości i zaufania ludzi żywych. A któż dziś, czytając bojowe oktały „Beniowskiego”, widzi na głowie mickiewiczowskiego antagonisty hełm Achillea? Coś zacichło i zesztywniało dokoła poety.

Miedzy nim a naszym czasem położyła się ogromna mielizna naśladowców. Zbanalizował się czar jego wiersza. Setki rympisów przez dobre pięćdziesiąt lat obkładały każdy kunsztowny zabieg jego strofy. Przenicowano jego wersyfikację, słownictwo, metafory, i cały ten złom kruszcu rozbito na najlżejsze liczmany. Rozmowę z panem przerwali nam komornicy i dzierżawcy. Musi ucho wprawdzie zgubić pamięć wszystkich fałsetów, aby wyłowić czystość pierwotnego dźwięku. I musi pojawić się całkowite, dostępne wydanie dzieł Słowackiego. Niepodobna walczyć o poełę, który stał się antykwaryczną rzadkością, albo przemawia urywanym głosem wypisów szkolnych. Oczywiście nie trzeba się ludzi: zawsze znajdzie się sporo takich, co w trelach słowiczych widzą tylko proste gadulstwo.

Natomiast w dniu, w którym Słowacki wraca do kraju, jakby na nowe promienie życia, jest czas polem, aby każdy odbył ze sobą naradę, jaką część duszy — świełce czy lamus — oddaje mu na mieszkanie. Myślę przedewszystkiem o moich kolegach, ludziach tego samego cechu, którego Słowacki chyba jest zawsze jednym z przewodników, a nie chorągiewnym światkiem.

Co do mnie, uczyniłem to w kilku ostatnich wieczorach, w ponownym obcowaniu z jego nieulekłym, bezsensnym potowstwem. Przeżyłem go w nieprzemierzonej, fali jego twórczości, pełnej, obfitej i zdumiewającej. Oto poeta! Nie idzie tu już o to, że wiersz jest dobry, chociaż wiersz Słowackiego pozostanie dobry nawet wówczas, gdy ziemia ostygnie i gdy nie będzie komu go podziwiać, — nie o

ELEUTER

SŁOWACKI I PROUST

Gdy spoglądamy na grube tomy dzieł Słowackiego — przenieś nas prosto do ogarnia przy myśli, jakiego wysiłku kosztowała chorego ciężko człowieka mechaniczna praca, mająca na celu przelanie na niewidzialny papier chmury gigantycznych wizji, rodujących się w głowie poety. Niepomierna ta praca (jeden „Król-Duch” tylko!) stoi w zupełnej nieproporcjonalności do walego ciała, które ją wykonało. Mimowoli, gdy przebiegniemy obszerne pole literatury, przychodzi na myśl inny człowiek, w sto prawie lat po Słowackim żyjący, którego schorowane ciało wykonało równie gigantyczną pracę, — Marceli Proust.

Ta powierzchowna asocjacja pogłębia się w miarę jak się nad nią zastanawiamy. Zadziewia nas w końcu kompletna analogia tych dwóch żywotów. Obaj pisarze, wychowani a raczej rozpoczynający, rozpoczynają żywot swój poza tak miłą i tak młodzieńcza, tak zresztą utalentowaną, że prawie się nie chce wierzyć w ich genjusz późniejszy. (Zdaje nam się bowiem, że te rzeczy się wykluczają). I gdy pod koniec ziemskiej cielesnej kariery nacylamy się nad ich tożem, nie chcemy dać wiary, że to są ci, co uobrozili jak dandy sła na podobj świata. Tam samotna cela Słowackiego, klasztor na swojej surowości, nakaz wytrwania w gasnących oczach i dyktowanie strof „Króla-Ducha” gasnącymi wargami, strof, niestety, nie końcowych. A tutaj również w pustelni śmierci nad korektami dzieła, które — szczęśliwszemu poemu wieszczka polskiego — nosi u spodu słowo „fin”, gasnąca napisane ręką. Owo rozłam na dwie połowy życia. Jedna — to barwne rozświetlanie czasu, poetyzowanie, koloryzowanie siebie i innych, pisanie z ambicji, z daru, z zawrotów głowy na szczytach Alp, czy na szczytach monde'u paryskiego. Druga połowa — to praca, wyteżone wyrzeczenie się, wysiłek trzymający przy życiu tylko dla jednego celu, dla posłannictwa, dla uwiecznienia tego wszystkiego, co z życia jak strzep pozostało. Ołbrzymia, przyniatająca wielkość — ale wielkość „pracą ducha” wypracowana.

Samo porównanie rękopisów „A la recherche du temps perdu” i „Króla-Ducha”, który jest także jakimś tajemniczym poszukiwaniem zgubionego w prawiach czasu, potwierdza analogię. Ta sama nerwowość pisma, wahania, poprawki, starania o doskonałość. Niestety, dzieło Słowackiego doszło do nas w strzępach. Nie możemy ocenić stosunku jego części do całości i podziwiać doskonałości formy, jak to ma miejsce u Prousta. Natomiast oczywiście Proust musi ustąpić Słowackiemu pod względem wielkości koncepcji, której równej literatury świata od Dante'go nie posiadała.

Porównanie może byłoby powierzchowne, gdybyśmy poprzestali na analogii wewnętrznej dzieła dwu autorów. Mimo że paradoksem się zdaje to co mówię, istnieje i głębsza, istotniejsza analogia. Zarówno Słowacki jak Proust posiadają *identyczną* koncepcję osobowości. Dla obu ja jest nie czemś stałym, lecz procesem. Poszczególne fazy tego procesu oświeła zarówno „Król-Duch” jak i „W poszukiwaniu straconego czasu”, z tą tylko różnicą,

wiersz zatem, ani o język, może najświetniejszy, jakim kiedykolwiek u nas pisało, ale o ten wspaniały organizm poetycki, podobny do niektórych artystów odrodzenia, wyzbytych myśli o zysku i codzienności, całkowicie pochłoniętych pajęczą pracą snucia z siebie wciąż świeżej tęczywej przędzy.

Przeszedłszy dość szybko to, co już sama pamięć podpowiedziała, zanim oczy wbiegły w łóżyisko tekstu, zatrzymałem się wśród okruszyn, pozbieranych z bruljonów, notatników, marginesów. W chwili gdy to piszę, maci mi spokój niedawno powzięta wiadomość o znalezieniu w Bibliotece Ossolińskich we Lwowie nowych fragmentów „Króla Ducha”. W stosunku do żadnego poety nie wydała mi się praca poszukiwaczy rękopisów taka złoźna i doniosła. Nie powinno się dopuścić do zatrąty ani jednego świstka papieru, na którym spoczęło pióro Słowackiego. Nigdy bowiem nie utrwalało ono nic pospolitego. Z lat 1847 — 1849 zachował się dzienniczek poety, gdzie idąc po sobie jakby w następstwie nadobłocznych wydarzeń: „7 grud. Ziemię zawezwać do współnictwa pracy Ducha”. I nic w tym dniu nie stało się ważniejszego nad tę jedną krótką błyskawicę, tak jak znów „18 listop. Z ziemi wyprowadzać ducha bożego na twórczość i światło”. Nawet notatnik z podróży, zamknięty w predki, oderwanych wyrazach, nosi na sobie znamiona tego wyjątkowego życia poetyckiego, oddanego wizji, myśli i pięknu.

Od tych trzech pokoleń nie postarzał się Słowacki ani o jeden dzień. Jego duch jest zawsze w wieku naszej najpełniejszej, zdobywczej młodości. Czytając go byłem jak w zorzy wschodzącego słońca i po wielokroć słyszałem głos wyzwalającego bóstwa. Objawiły mi się najcudowniejsze cnoty poety: głęboka miłość człowieka, przemawiająca słowem, które i nasze serca rozszerza, współczucie z każdym cierpieniem i wysiłek, aby mu ulżyć, czystość myśli i górnosc pragnień, co nigdy nie wypoczywały w cieple zwykłego dosytu, — wreszcie: rytm niecofającego się postępu, prawie niesamowity pęd naprzód i niezaspokojony głód doskonałości. Czulem nad sobą wiecznie rozpięte skrzydła ducha.

iz ciemne przebiegi tego procesu Proust spycha w podświadomości, a Słowacki zamiat kulis podświadomości wprowadza kulisy zaświatowości, co w gruncie rzeczy na jedno wychodzi, choć dzięki temu proces istnienia ja u Prousta przebiega od kolebki do śmierci, u Słowackiego zaś przez kilka poszczególnych żywotów.

Oczywiście pojęcie osobowości jako procesu, w przeciwieństwie do jakiejś gotowości danych zgóry stanów duszy, zastanawia nas bardziej w Słowackim i stanowi o jego nieprawdopodobnej intuicji myślicielskiej. Z tej prostej przyczyny, że Proust przychodzi do Bergsonie i jego psychologicznej filozofii, znaczenie jego psychologii jest znacznie mniejsze; analiza proustowska staje się genjalną wprawdzie, ale tylko ilustracją metody Bergsona, gdy tymczasem dzieło Słowackiego swą nowością i niezależnością (oczywiście względna) musi budzić głęboki podziw i szacunek. Nie ulega wątpliwości, iż Słowacki jako psycholog doczeka się swojej monografii. Wówczas „Król-Duch” jako poemat psychologiczny rozwinię się przed nami niby filmowa taśma autoanalizy Słowackiego. Ten sposób widzenia tego wielkiego poematu, najgenialniejszego dzieła Słowackiego, podzielał już J. Gw. Pawlikowski. Niestety, Pawlikowski próbował tłumaczyć autoanalizę „Króla-Ducha” historycznie, proces kształtowania się bohatera „Króla-Ducha”, osoby, która mówi ja (jak i bohater Prousta), uważał za równoległy do przebiegu faktycznego życia Słowackiego. T. zn., że pierwszy rapsood odpowiadałby młodości Słowackiego, drugi — latom następnym, i t. d. i t. d. Myślę, że analiza psychologiczna „Króla-Ducha” odpowiadała specjalnym ugrupowaniom, nawarstwieniom czy kompleksom, kryjącym się w duszy Słowackiego i odbywającym swe procesy jednocześnie. Ze zlewania się i wzajemnego oddziaływania tych elementów powstawało ja psychologiczne Słowackiego, rozłożone przecież w „Królu-Duchu” z subtelnością nie gorszą od Prousta, a z znacznie większym poletem poetyckim.

Naturalnie psychologizmowi Słowackiego stoi na przeszkodzie jego wyobraźnia, która sprawia, że każdy jego, drobny nawet, proces wewnętrzny uwewnętrznia się nie pojęciem, nie słowem, lecz obrazem, czego niema u Prousta. Obfitość naskakujących na siebie obrazów zaciemnia psychologiczną treść rapsoodów Słowackiego, podnosząc jednak artystyczną ich wartość do potęgi, której już potem literatura polska nie osiągnęła. Oczywiście w tej potędze, o tem natężeniu u Prousta niema mowy.

Pod względem etycznym różnice obu pisarzy są raczej natury formalnej; w czynach jednego jak i drugiego czynnikami decydującymi jest wiara w sztukę, jako w nieśmiertelność, Proust jednak za sztukę uważa jedynie uwewnętrznianie się, skierowanie akcji artystycznej na zewnątrz, Słowacki kieruje się dośrodkowo, do wewnątrz — obaj jednak wierzą w nią głęboko jako w jedyną gwarancję nieśmiertelności. Ta kwestia jednak byłaby może bardziej skomplikowana i wymagałaby dłuższego zastanowienia się, choć niewątpliwie w zarysach swych jest wierna.

JÓZEF WITTLIN

Słowacki opuszcza Paryż

Tłum rozbawionej, obcej publiczności
Gapić się będzie, gdy białe Twe kości
Powiozą ulicami Montmartre'u.

Wzrok obojętny utkwia w Twoich marach
Amerykanie w dużych okularach,
Słócenie przed kasą teatru.

Pstre music-halle, bary, kabarety
Nie pożegnają popiołów poety,
Co obcy był w własnym kraju.

Lecz Cię pożegna dusza tej dzielnicy,
Gdzie z raną w sercu bladzi lunatycy,
Jak Ty, jak Ty się błakają.

Pamięta Ciebie ten bruk i pamięta
Twój pierwszy pogrzeb — Montmartre, góra święta:
Ów pogrzeb dziewiątej kategorii.

Samotność Twoją — drzewami szumnemi
Wspominać będzie cmentarz na tej ziemi,
Z której odchodzisz, aby między swymi
W królewskiej odpocząć glorii.

KAROL IRZYKOWSKI

Element kinowy u Słowackiego

O środkach poetyckich Słowackiego pisało już nieraz, zastanawiając się nad nim ze stanowiska np. malarzkiego (rysunek i barwy), rzeźbiarskiego, muzycznego, teatralnego, freudowskiego. Nowa sztuka, kinowa, daje krytyce jeszcze jeden instrument, jeszcze jeden sposób rozpatrywania tych środków: jakie są w poezji Słowackiego wartości kinowe?

Nie chodzi tu jednak wcale o to, jakby kto może myślał, czy Słowacki „przeczuwał” kino, czy miał wyobraźnię więcej lub mniej kinematograficzną, i które jego utwory do sfilmowania się nadają. Bardzo wielu autorów ma w swoich dziełach pierwiastek (moment) kinowy w dwóch znaczeniach: 1) że akcja zawiera wiele nagłych zmian, przerzuca się z miejsca na miejsce, wciąga w grę wielu ludzi, nie wyklucza interwencji przypadku; 2) że akcja czasami układa się w gotowe sceny, nadające się do zrealizowania filmowego. To drugie znaczenie jest szlachetniejsze; pierwsze jest właściwie przeszczepione na kino z literatury sensacyjnej. Atoli ten pierwiastek kinowy jest tak zespolony z innymi, że wyizolować go znacząco by zniszczyć dzieło. Przez dłuższy czas wielu nawet wybitnych literatów uważało, że filmowanie powieści, dramatów, poematów („Pana Tadeusza”) jest karierą godną dzieła literackiego, upatrywali nawet w tem pewne pochlebstwo dla swego dzieła, gdy który reżyser proponował realizowanie go w filmie. Dziś na szczęście ta ambicja minęła. Z dotychczasowych prób pokazało się, że t. zw. zrealizowanie filmowe zabija poezję, ponieważ pozbawia ją perspektywy, utrwala, usztywnia to, co powinno się rozplwacać, — chyba żeby reżyser sam był dotyła poetą, aby w miejsce zniszczonych perspektyw wytworzyć nowe.

Z utworów Słowackiego do filmu nadawałyby się tylko dwa: „Balladyna” i „Lilla Weneda”. „Lilla” przypomina atmosferę „Nibelungów”, lecz los „Nibelungów”, w filmie byłby raczej odstraszaający, tak je spartaczono. Wzgórze z druidycznymi głazami, śmierć Salmona, motyw harfy, motyw wodza dwugłowego, śmierć jego na stosie — toby były punkty kulminacyjne. A główne sceny u niego, gdzie się Derwid stara, a Lilla gra na harfie uspakaja węże. Oczywiście trudności techniczne do zaaranżowania takich scen w filmie byłoby kolosalne. Lecz wystarczy przeczytać opis, aby się przekonać, że nawet gdyby w tym celu wyrosowało odpowiednio siorę węży, pozostałaby trudności zasadnicze. Obraz mógłby działać komicznie. W tragedji opowiada się o nim, wogóle przeważną część okropności usuwa się za scenę. Wprawdzie Andriolli narysował tę scenę, ale było to pomyślane właśnie tylko ilustracją, — film musi mieć samodzielną wartość. W tekście jest porównanie: węże stoją wyprostowane jak fala morska wzdłuż nad dwugłowego. Dla poezji jest to obraz świetny, dla filmu ryzykowny.

„Oczy wyobraźni”, tego najsłabniejszego ekranu, realizują inaczej niż film. Poezja ma mnóstwo swoich godności wzamian za brutalną naoeczność. Drugą taką kapitalną sceną byłaby ta, w której Polełum rzuca toporem w Derwida. Nie mówimy już o tem, jak poeta w przygotowaniach i wahanach poprzedzających ciśnięcie toporem eksploatauje tę scenę; lecz poezja rywalizowała z filmem nawet w przedstawieniu momentu najdrastyczniejszego: Lech widzi nad głową Derwida „drzazgi z żelaza rozsypane skrami”, — szczegół dziejący się w czasteczce sekundy, uchwytyn wprawdzie dla czułych aparatów (filmuje się przecież przechodzenie wystrzelonej kuli przez pancierz), lecz nie mający dla kina istotnej wartości.

„Jakoż wśród tych dzid obrusa,
Jak na chuscie Magdaleny,
Słońce tej okropnej sceny,
Słońce jasne, jego głowa,
Spokojna, a purpurowa
Od męki cieniów serdecznych —
Jakoby w kregach słonecznych
Dziś mi przed oczami staje...”

Tego rodzaju obrazom swoim nadaje Słowacki na końcu znanie albo szczególnej delikatności albo monumentalności. Wskazuje jeszcze pod tym względem na opis czynu Oleśnickiego w bitwie pod Grunwaldem, zawarty w „Zawiszy Czarnym”. Oleśnicki na rozkaz Jagiełły odkłada pastorały i bierze w rękę dwa znane miecze przysłane królówi przed bitwą — i biskup staje na górze w mieczach jak anioł-stróż walk czerwonych. (Później te same dwa miecze zmieniają się w srebrne nożyce, którymi Oleśnicki przecina Krzyżaka Dypolda jak osę).

Może tyle przykładów wystarczy, aby dowiedzieć, że w rozbiórach literackich można by niekiedy stosować kinematograficzny punkt widzenia, oczywiście tylko jako kryterium cząstkowe i przejściowe, a nie absolutne.

Inny obraz z „Lilly Wenedy” — Lelum i Lilla jako dzieci, kłęcząc, całują się poprzez struny harfy ojca, — wiedzie nas we właściwy świat wyobraźni Słowackiego, świat gestów o niezmiiernej delikatności. Przwomne tylko owe dwie sarny z poematu „W Szwajcarii” które wpatrzywszy się w oczy kocanki poety, pokładły na sobie głowy, — albo tańczące fale przed kaplicą Tella. Fala swawolna łączy w odbiciu usta obojga — szczegół hiperboliczny, który, „zrealizowany” w filmie, byłby nie poetyczny, lecz trywjalny.

O tem wszystkim warto mówić dlatego, że swego czasu bardzo ulubione było wymaganie, ażeby wyobraźnia poety była „malownicza”, w tym sensie, żeby to, co on przedstawia, dało się namalować. Wszak niedawno jeszcze jeden z badaczy wytoczył proces Prusowi za brak t. zw. plastyki. Otóż malarstwo dawniej nie mogło wykryć absurdu tej teorii tak doskonale, jak to teraz czyni sprawdzian kinematografu.

Z tego samego stanowiska wartoby spojrzeć także na „Dantyszka” jako scenariusz; na scenę z dwoma gołabkami i dębem w III pieśni „Beniowskiego”.

Szereg obrazów, które dawniej nazywano malarzskimi, lecz którym dziś raczej nazwa kinowych przysługuje, rozwinęły się w „Śnie srebrnym Salomei” zwłaszcza w opowiadaniu Pafnucego. Ale i tu można zauważyć, jak czyn poetycki tkwi właśnie w tem, że zamiast utrzymywać się w ramach obrazu, przeciwnie obraz psuje, mąka, wyolbrzymia lub przenosi w inne sfery. Rycerze jadą jarem ciemnym, lecz rozświecają go iskrami podków i blaskami szabel — i tu przychodzi porównanie; jakby tam u skały czekały furze z ognistymi przęcieradłami, gotowe tych ludzi owinąć. Rycerze wjeżdżają w błotniste stawek, i wody rozstępują się w srebrne miesiace — aż dotąd plastyka dokładna, lecz zaraz się łączy z wizją innego porządku rzeczy: jakby, o panie! niosąc nasze pożegnanie ojczyźnie, gdzieś stojącej na brzegu. Gruszczyński widzi zdaleka dwie głowy swych dzieci zatknięte na spisch — a z jednej główki żelazo wychodzi niby ognikiem, który płonie na wietrze „jako świętych serduszek oferta”. — Później Kozacy prowadzą Gruszczyńskiego na powrozie poprzez rycerzy polskich, wparli mu spisy pod boki, — i teraz obraz sam już poeie nie wystarcza, on musi go skondensować, nazwać i utrwalić:

STEFAN KOŁACZKOWSKI

NOWE SPOJRZENIE — NOWA ZDOBYCZ

Twórczość jest spontaniczna. Rzeczą wiadomością nazwać to, co się z niej narodziło, zlokalizować w świecie rzeczywistości. Odkrycia robi się niechęcią, ale odkrywca nazywamy tego kto wie, co znaczy, jego mimowolny wynalazek.

Ale niekiedy odkrycia bywają dokonywane bez tych iskier i blisków natchnienia, zrodzonych z nadmiaru sił. Ot „pieczone gołąbki przychodzą same do gąbki”. W taki to sposób, dzięki nowemu sposobowi patrzenia, malarze w pewnej epoce zaczynają wszyscy dostrzegać w przynajmniej coś, czego nie widzieli ich poprzednicy, „odkrywają” jeszcze raz przyrodę. W taki to sposób odkryto piękno sztuki starożytnej, w taki — młodzieńcem odkrywa czar kobiecości, człowiek dojrzał — czar dzieciństwa, w taki — odkrywamy nowe style, w taki — przeżyłyśmy drugie renesansy Fredry, Prusa, Orzeszkowej, w taki — „odkryliśmy” barok w pewnej dziedzinie twórczości Słowackiego. Powtarzamy „odkryliśmy”, a więc nie ja i nie pan X, i Y, tylko bardzo wielu ludzi dzisiejszych o rozwiniętej świadomości artystycznej — dziś wróble już o tem świergocą. Historykom literatury starszego pokolenia zdawało się, że to bardzo ważne, kto był pierwszy, kto miał „zastępcę” być pierwszym człowiekiem renesansu, czy pierwszym demokratą w Polsce. A to nie ważne, przynajmniej dla ogółu, przynajmniej z historycznego, a nie indywidualnego — psychologicznego stanowiska. Ze względu na Słowackiego, ze względu na nasze czasy właśnie, ważną jest rzeczą, że mamy tu do czynienia z nowym spojrzeniem na twórczość Słowackiego naszej epoki, a nie z „hipotezą naukową”, „oryginalnym pomysłem”, „frapującym ujęciem”. Historia — to nie wysiłki karykatury, ani zawody o oryginalność, ważne w widzeniu epok, stylów czy natury jest to, co już w momencie „odkrycia” nosi zaród popularnej oczywistości, a może nawet i zbanalizowania. Węć i tu odkrycie dokonane zostało niechęcią — dokonywało „czasy”; ważna i ciekawa będzie teraz tylko praca, uświadamiająca i potwierdzająca odczucie baroku w pewnej fazie twórczości Słowackiego.

Pracy tej zaledwie mamy zacząć; dotąd, o ile mi wiadomo (prócz studjum p. Boleskiego o „Śnie srebrnego Salomei”, jeszcze niedrukowanego, i kilku moich uwag o baroku w „Fantazym”, który ukazuje się w wydaniu „Biblioteki Narodowej” w tych dniach), nikt z interesujących się tą kwestią nie miał czasu na nią pracować. Czasy obecne w stosunku do pracujących w wolnym zawodzie pisarskim zachowują się jak kobiety z aforyzmu Wilde’a: „Zachęcają nas do czynów, ale przeskadzają nam je wykonać”. „Opłacać” się ludziom tego zawodu tylko prace albo wręcz dla społeczeństwa szkodliwe, albo pośpieszno-dyletanckie, albo bezsensowne. Na rzeczy pozytywne w ogóle niema zapotrzebowania, i dzięki temu — praktycznie biorąc — niewolno nam tworzyć i pożytecznie pracować. Produkcja jest niemożliwa, popłatne, cenione i pełne rytmu życia dziś jest tylko pośrednictwo. W wolnej więc od systematycznego szkolenia społeczeństwu chwili, i pełnienia prac nikomu niepotrzebnych, zabieram głos, aby pośredniczyć, aby zachęcać do pracy nad barokiem u Słowackiego... innych, piszę rzuty... do prelimitacji nad barokiem u Słowackiego, zwołuję tych, którzy również odgrają się jak Hamlet Ofelji, iż pokażą, co oznacza to widowisko, skrytej przedtem piękności. Przyjmując więc za założenie znajomość i odczucie stylu barokowego oraz przynależność niektórych dzieł Słowackiego do tego stylu, przystępuję do paru metodologicznych i paru nasuwających mi się trudniejszych kwestii, do dyletanckiego przedrzeźniania kantowskich pytań na temat, czy barok i badanie baroku u Słowackiego jest możliwe.

Myśląc o Słowackim, jako największym twórcy baroku w literaturze polskiej, trudno nie zatrzymać się nad refleksją, że wciąż powtarza się w Polsce to Kirkorowe odrabianie pańszczyzny przez wybitną jednostkę za cały naród, trudno nie zadumać się na temat naszych twórców i anachronizmów. Los Antoniego Malczewskiego spotkał tego pisarza, który mógłby być zostać największym naszym pisarzem baroku, Sepa-Szarzyńskiego. Dziś w małym tomiku, który pozostał nam po jego przedwczesnej śmierci, wyczuwać możemy zadatek na naszego Tassa, Calderona i Corneille’a zarazem. A wszyscy inni nasi pisarze baroku — to już ludzie nie tej miary, a artyzm ich już nie tej próby! A nieraz zestawienia środków artystycznych nieuchwytne z sobą, połączenie wzniosłości i trywialności, ducha religijnego i rubasznego, artyzmu i grubych realistycznych efektów u naszych pisarzy XVII w. — to *brak mimowolny*, to tylko produkt pomieszania kultury i barbarzyństwa, w którym nie należy szukać stylu. Słowacki więc naprawdę odrobił nasz barok, jak odrobił twórczość ludową.

Takie postawienie kwestii budzi tyśiączne wątpliwości. Czy to zasadniczo jest rzeczą możliwą, czy możemy przyjmować w historii sztuki takie fenomeny za fakty rzeczywiste? Na tę wątpliwość odpowiedzieć należy, iż takie twórcze zapłodnienia sztuki jednej epoki przez styl innej istniały zawsze, może tu tylko zachodzić różnica co do stopnia „pokrewieństw z wyboru”, charakteru, bądź bardziej mechanicznego, bądź bardziej organicznego, wcielania elementów stylu jednej sztuki w drugą i co do rozmiarów i zakresu tego zjawiska. Gdyby Słowacki był pod tym względem jedynym jakimś i niebywałym fenomenem — sprawa budzi-

by mogła większe wątpliwości. Tak jednak nie jest: że Słowacki nie jest pod tym względem wyjątkiem, świadczą mogą inne analogiczne zjawiska, jak np. Honoré Daumier we Francji. Inną kwestią, z tem zjawiskiem baroku w epoce romantyzmu związaną, jest sprawa wpływów. Interesowanie się i gromadnie badania wpływów u naszych historyków literatury minionej epoki wiązało się ściśle z mechanistycznym poglądem na świat. Dla nas rezultaty tych prac, jak to często bywa, nabierają zgola innego znaczenia wtedy, gdy stawiamy pytania nie dotyczące stopnia oryginalności utworów, lecz ich charakteru ideowego czy estetycznego. Stwierdzenie analogii nawet wtedy, gdyby przypisywanie jej wpływom było mylne, może być stwierdzeniem przynależności badane- go twórcy do jakiejś epoki i atmosfery ideowej czy artystycznej. Gdyby np. okazało się, że Wyspiański nie czytał nigdy Nietzschego, ten badacz, który *wykaże* wpływ Nietzschego na Wyspiańskiego, odda nam mimowoli usługę *zlokalizowania* Wyspiańskiego w epoce, pieczętującej się ideologią Nietzschego. Z tego stanowiska patrząc — drugorzędną kwestią jest, ile myślowo tej czy innej kategorii zawdzięcza Słowacki Calderonowi, jeśli

J. N. MILLER

Słowacki a racja chwili

Przed laty dwudziestu w okresie triumfującego symbolizmu twórczość Słowackiego wysunięto niemal na czoło polskiej poezji romantycznej; wyglądało to prawie na zmierzch Mickiewicza w stosunku do Słowackiego. Studja Pawlikowskiego, Matuszewskiego, uprzystępniające szerszemu ogółowi złożoną twórczość poety, utorowały mu poniekąd drogę do zawartych dotąd dla niego „wątrob i żołądków”. Dla poetów ówczesnych poezja jego stała się w każdym razie w większej mierze źródłem natchnień, niż poezja Mickiewicza, że wspomnimy chociażby Wyspiańskiego, Micińskiego, Przybyszewskiego.

Czy w chwili obecnej warunki te się utrzymały?

Należy na to pytanie odpowiedzieć przecząco — nie tylko zresztą w stosunku do Słowackiego, lecz do wszystkich romantyków. Nowe warunki życia (odzyskanie niepodległości), nowe wymagania, stawiane sztuce, zmieniły zasadniczo naszą postawę estetyczną i zaostriżyły uśpiony przez nastrojowców krytycyzm wobec fantasmagoryi romantycznych.

Mimo tych naturalnych zresztą zastrzeżeń w stosunku do kultu romantyków, stwierdzić trzeba, że Słowacki w przeciwstawieniu do Mickiewicza podkreśla w twórczości swojej pewne motywy, które tłumaczą nam kult jego twórczości w chwili obecnej, a w sytuacji pomajowej — w szczególności.

Modernistów kusiła jego mistyczna religijność, nastrojowość, indywidualizm, symbolizm, rozlewność wyobraźni słuchowej i wysubtelnienie formy — to wszystko, co obecnie znajduje się w mniej lub więcej bezładnym odwrocie.

Nas uderzy raczej jego subtelna próba przewyciężenia romantyzmu przez podkreślenie karykaturalnej nieżywcowości typu romantycznego w „Kordjanie”, przez ośmieszenie patetycznej błagi konwencjonalnych sytuacji romantycznych w „Podróży na Wschód” i w „Beniowskim”.

W przeciwstawieniu do filantropijnie zdawkowego humanitaryzmu Mickiewicza w stosunku do maluczkich („zaledwie usłyszeli nowinę poddani, skoczyli do panicza, padli do nóg pani”), Słowacki pierwszy z romantyków dojrzał w ludzi samorodną, autochtoniczną siłę żywotną, którą przeciwstawiał czerepowi rubasznego szlachetczyzny. Demokracja polska całego w. XIX znajdowała w Słowackim jedynego niemal głębszego orędownika idei przeciwstawienia wenedyjskiej kultury przyszłości — lechickiej kulturze przeszłości. Z tych źródeł wypłynęło niewątpliwie chłopomaństwo Wyspiańskiego i Kasprowicza. Dla nas ta idea Słowackiego będzie również zarodem przyszłej formy życia polskiego, opartej na prawie pracy, i z tego punktu widzenia walczący o swe wyzwolenie proletariąt polski powinien przyznać się do Słowackiego jako do swego poety.

Metafizyka Słowackiego w przeciwstawieniu do mickiewiczowskiej jest wielościowa, nie zakłamuje się dzięki temu fikcją wieczystych wywczasów w aureoli rachitycznych wspomnień z kraju lat dziecińczych — lecz jest bojowa, zachłanna i zdobywcza, buduje pomniki pracy i łuki triumfalne dla zwycięzcy w walce. Niedarmo Popiel, Bolesław Chrobry i Śmiały, Samuel Zborowski i Lucyfer stają się rewelatorami nowej formy życia. Mimo całego kultu mistycznego dla miłości jako regulującej zasady życia, Słowacki nie zakłamuje się fikcją wszechmiłości, lecz w swojej hierarchii żywotów

*) Nie mając możliwości rozwinięcia tutaj tej sprawy, pozwolę sobie wrócić do niej w oddzielnym studjum.

pytamy się o to, czy niektóre dramaty Słowackiego rzeczywiście są w stylu baroku. Mechanicznie brał Słowacki znacznie więcej od Szekspira, ale organicznie w pewnej epoce bliższy był Calderonowi. Słowacki, *czepiąc z Szekspira, tworzył we własnym duchu, czepiąc zaś znacznie mniej z pisarzy baroku — tworzył organicznie, typowo, w duchu baroku*. I to jest zjawiskiem nowym dla nas i ciekawym, A do tego właśnie *organicznego*, właściwego duchowi Słowackiego w pewnej epoce, tworzenia w duchu baroku dojść przez zestawienie wpływu nie można. Tu trzeba mieć już wyrobione na znajomości sztuki baroku poczucie stylu barokowego, i to poczucie może dopiero dać nam klucz do tego, co jest barokiem i co nie jest barokiem samego Słowackiego, jego twórczą własnością.

Ustalenie faktu posługiwania się przez Słowackiego kilkoma czy kilkunastoma środkami artystycznymi, znanymi nam ze sztuki baroku, nie dowodziłoby bynajmniej jeszcze, że Słowacki tworzył w duchu baroku. Tu nie chodzi tylko o istnienie tych cech, lecz o to, że stanowią one *zespół organiczny*, i dlatego jedynie można tu mówić o stylu barokowym Słowackiego.

wyznacza właściwą rolę i nienawiści do niższej formy życia, tej najwzniolejszej formy nienawiści, która upoważnia do lucyferycznej drogi, łamania prawa chrystusowego, do gwałtu i tyranji. Nie bez najgłębszej racji Matuszewski w jednej z prac swoich zostawił otwartą kwestję, czy Słowacki, pisząc „Króla - Ducha”, pisał tylko o jednym duchu - przodowniku, czy o walce „Królów - Duchów”? Pozwólmy sobie całkowicie przechylić się na stronę drugiej możliwości: tłumaczy ona wiele niejasności, otwiera oczy na wiele niedomówień, wyjaśnia politeizm mistyczny poety i kult walki, katakizmów i rewolucji, tak obcy przecież bezpłciowej miłości chrześcijańskiej. Ta strona doktryny mistycznej Słowackiego czeka na nowe ujęcie, które umożliwiłoby zbliżenie się do poety pod kątem naszych własnych potrzeb.

I jeżeli w chwili obecnej, patrząc z przekąsem na deklarację praw człowieka i obywatela i inne demokratyczne śliczności, gotowi jesteśmy przyznać jednostce lub gromadzie, stojącej w „hierarchii ducha” wyżej nad zbiorowością, prawo moralne do obciśniania społeczeństwa na modłę wyższego kształtu, uznać przywilej tyranji, to jest to w warunkach życia polskiego niewątpliwie owoc „twardej bożej służby” wielkiego samotnika, który, pragnąc tyranją ducha przerobić na swoją modłę, zdobył to prawo dla wszystkich swoich prawych i nieprawych potomków.

Wychodząc zaś z tych założeń, pojmujemy właściwie podłoże polityczne tego aktu hołdu, jaki w chwili obecnej składamy prochem twórcy „Króla - Ducha”. Niedarmo też zadawnioną sprawę jednym cięciem słowa rozstrzygnął premier naszego rządu.

Wobec niepokojącego milczenia szefa rządu o celach i planach majowego przewrotu — fakt sprowadzenia do kraju prochów twórcy „Króla - Ducha” jest pośrednią odpowiedzią, daną społeczeństwu na ten pytańnik chwili. Czy należała i wystarczająca — to kwestja.

W tonacji jednak tej odpowiedzi brzmiałaby najszlachetniejsze tradycje imperjalizmu romantycznego „duchawiecznego rewolucjonisty”, który wywalczył sobie prawo łamania zużytej formy i domaga się od zbiorowości uznania tego faktu.

W chwili jednak obecnej rola „Króla - Ducha” byłaby o tyle utrudniona, że społeczeństwo jest jednak o wiele aktywniejsze niż przed wielkimi, i niepodobna obezwładnić natyle form życia zbiorowego, aby oprawić je w ramy przez jednostkę przepisanego masystruty. Sam Słowacki, mimo swego indywidualizmu, zdawał sobie w pełni sprawę z uniwersalistycznej zależności jednostki od społeczeństwa, kładąc uświadamiać sobie duchowi Popiela w zaświatach istotę tego boskiego poddania w pokucie za żywot stracający:

„— a na mnie Pan spojrzal litośnie,
Bo to uczulem — czego nie ma dusza —
Ze mi ojczyzna cała w duchu rośnie
— I rosnąc — ducha mego przymusza”.

Bez tego wzajemnego rozrostu i zapłodnienia tyranja ducha staje się zwykłym gwałtem, pozbawionym tej sankcji moralnej, do której może sobie rościć pretensję „rewolucjonista z ducha”.

Sprawdzianem zaś tych usiłowań jest realny wskaźnik odnotowanych na giełdzie międzynarodowej warunków popytu, podaży, wytwórczości i spożycia przeciętnego na głowę załudnienia — oczywiście nie Królestwa Bożego romantyków, lecz niepodległego państwa polskiego naszych „względnościowo - wielościowych” czasów.

Tym, którzy nieufnie odnoszą się do samego faktu pocucia stylu, przypomnieć musimy analogię w postaci pocucia językowego, w którego istnienie nikt nie wątpi, bo każdy zna je z własnego doświadczenia. Psychologiczną jego genezę wytłumaczyć możemy na zasadzie t. zw. czuć rodzajowych i ich skojarzeń (ob. Abramowski). Zwykła formułka ludzi nieuznających naszych poglądów na barok Słowackiego opiera się na sprzeczności. Z jednej strony twierdzi się, że styl to *tylko suma* cech (a nie zespół organiczny), a z drugiej, gdy taką sumę cech im się wskaże, — twierdzą, że istnienie kilku cech nie stanowi stylu. Właśnie dlatego stwierdza się tu naciskiem, że spotykamy się w paru utworach u Słowackiego z *organicznym zespołem* cech barokowych, ale i jednocześnie zdajemy sobie sprawę, że ta organiczność jest kwestja wyczucia i że „naukowo” wskazać można tylko wielką sumę tych cech. Niech nam tylko wtedy nie mówią, poczynając od drugiego końca swej sprzecznej formułki, że stwierdzenie sumy cech — nie jest dowodem istnienia stylu — bo nie myśmy tej prawdzie przeczyli!

Sprawa genezy spontanicznej barokowej twórczości w pewnym okresie twórczości tego poety jest trudna i złożona. Pierwsze impulsy do niej, zda się, odebrał we Włoszech w 1836 r. Działyły po tem najdalsze napozór i najróżnorodniejsze czynniki. Malarstwo barokowe włoskie i — Pasek, kiętkowanie życia religijnego i — reminiscencje szlachetczyzny. Proces ten odbywał się zapewne na drodze skojarzenia w jedno całkiem różnych nurtów życia duchowego: składała się nań ironja romantyczna i budzący się sentyment dla przeszłości szlacheckiej i patos życia moralnego. Wprzód pokochał Słowacki i poznał barok w *obyczajowości polskiej* (Radziwiłł) i w rzeczywistości, zanim porwał go za włosy patos religijny Calderona. Nic bardziej psychiczne charakterystycznego, jak to, że do twórczości w duchu baroku dochodzi Słowacki przez stan ironji romantycznej, a następnie wzniosłego humoru. Humor dopiero odsłonił mu ten niewysłowny czar artyzmu w niespółmierności, dał możność łączenia patosu z realizmem, wzniosłości z powszedniością. Miłość przeszłości szlacheckiej nauczyła go widzieć harmonię a nawet jedność organiczną między czerepem rubasznym i duszą anielską. Głód rzeczywistości i patos życia moralnego pozwoliły mu barokowo godzić realizm z hiperbolicznością. Potężna jedność życia moralnego w okresie towianizmu, ujarzmiająca huragany jego duchowych porывów, kryła tajemnicę „organicznej”, uciążliwej kompozycji wizji scenicznych - barokowych dramatów.

Wśród wielu zarzutów przeciw kompozycji dramatów barokowych, jak „Sen srebrny Salomei” np., podnieść należy jeden, który niejako decyduje o wartościowaniu dramatów w tym stylu. Zarzuca im się brak budowy. Ten sposób patrzenia na rzeczy jest jednym z wielu przykładów posługiwania się kryterjum, zacieraniem z jednego stylu, jako jakąś uniwersalną regułą. Zapomina się przytem o jednej rzeczy, że fatum greckie jest też tylko mistyczna więź, nadająca swoistą logikę faktom tragedji greckiej. Jeśli cementem, spajającym w jedność akcję, może być konieczność metafizyczna zrodzona w wyobrażeniach Greków, czemu nie może nią być konieczność zrodzona z wiary mistyka? Artystycznie rzecz biorąc rozstrzyga tu siła sugestji twórcy, zrodzona z siły jego przesvědzeń, a tej trudno chyba odmówić Słowackiemu!! Niema i nie było innej konieczności w tragedjach w wielkim stylu prócz tej jednej — nadnaturalnej i dlatego właśnie *fatalnej*.

Poruszyłem tu szereg luźno związanych z sobą kwestyj na jeden temat, dlatego, że ten właśnie, o baroku Słowackiego, uważam za najaktualniejszy zśród czysto artystycznych zagadnień naszego dzisiejszego stosunku do Słowackiego. Od dwudziestu przeszło lat przeżywamy uczuciową rehabilitację baroku, urok jego wywarł potężny wpływ na całą naszą sztukę plastyczną. Wszystkich nici pokrewieństwa naszej sztuki z barokiem niepodobna wprost wyliczać, i ta dziedzina twórczości Słowackiego jaśnieje po raz pierwszy w naszych oczach blaskiem zaledwie dziś odsłoniętej nowości.

Trudno tu na zakończenie nie wspomnieć o fakcie ataku na „Sen srebrny Salomei” (nie wchodzi tu w sprawę jakości wystawienia tej sztuki). Repertuar teatrów warszawskich w ciągu ub. r. wskazywał wyraźnie na następujący głęboki i zgodnie pomyślany program: 1) wystawianie przeróbek utworów, które się na scenę nie nadają („Dzieje grzechu”); 2) prerabianie dzieł wybitnych dramatopisarzy z pogwałceniem najistotniejszych wskazań i dyrektyw twórcy („Kłątwa”); 3) wystawianie sztuk gwoili ich nieaktualnej palny. Jedyna sztuka wysoc aktualna ideowo, aktualna ze względu na swój charakter barokowy, wielka swą miarą nowocześnie, została potępiona! Jak dalece nowoczesnym i kulturalnym artystycznie człowiekiem trzeba było być, by nie wiedzieć nic o związku baroku ze sztuką nowocześnie, jak dalece subtelne trzeba było mieć poetyckie wyczucie, aby bez etykiety nie móc odczuć baroku u Słowackiego, — to tajemnica tego poety, który ten „ruch literacki” z powodu wystawienia „Snu srebrnego Salomei” zainicjował. Mieliśmy przynajmniej jeden przykład więcej na to, co w Warszawie zowie się „ruchem literackim”!

Przypominamy, że czas odnowić prenumeratę na kw. III b. r. (zł. 9.—w kraju, dol. 2.—zagranicą). Administracja: Warszawa, Bo-duena 1, tel. 223-04. Konto w P. K. O. 8.515

JULJUSZ SŁOWACKI PRÓBA SYNTEZY

Napisał dr. Michał Janik
(z 2-ma ilustracjami)

Zwięzła a pełna charakterystyka, którą prof. Ign. Chrzanowski określa jako „pierwszą i jak dotychczas jedyną wybitniejszą próbę syntezy twórczości Słowackiego”. — Niezbędna pomoc dla urządzających odczyty i wykłady —
Cena zł. 3.20, z przesyłką pocztową zł. 3.70
(za zaliczką nie ekspedjuje się)

Wysyła **KRAKOWSKA SPÓŁKA WYDAWNICZA**
Kraków, ul. Św. Filipa 25.

JUŻ WYSZEDŁ

TOM IV

MONOGRAFJI

PROF. DR. JULJUSZA KLEJNERA

P. T.

JULJUSZ SŁOWACKI

POETA — MISTYK

TOM TEN W DWÓCH CZĘŚCIACH

OBEJMUJE 62 ARKUSZE DRUKU

I 14 ILUSTRACYJ

CENA WYDANIA ZWYKŁEGO

ZŁ. 25.—

CENA WYDANIA LUKSUSOWEGO

ZŁ. 60.—

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFA
DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

WIADOMO

ze literaci samochodów nie kupują

ale nawet i im

WIADOMO

ze najlepsze i najtrwalsze są

OPONY

DUNLOP

Albowiem o tem

WIADOMO

wszystkim na całym świecie

O SŁOWACKIM

Z Historji i Literatury, *Michał Janik*. Juljusz Słowacki, 1809—1849. Próba syntezy, Kraków, Krakowska Spółka Wydawnicza, 1927; str. 4nł. i 110 i 2nł. i tabl. 1.

Po monografii Kleinera uwaga badaczów literatury odwróciła się prawdopodobnie na dłuższy czas od nieuchwytniej postaci Słowackiego. Dobrzeby było, gdyby jakiś zdolny powieściopisarz wyzyskał tę przerwę dla napisania prawdopodobnego romansu polskiego Ariela. Prześliczna książka Andrzeja Maurois o Shelleyu jest doskonałym wzorem takiego romantycznego żywota. Może wtedy życiorys poety przestałby się roić od lekkomyślnych i niesmacznych frazesów, a prostoduszni biografowie nie nazywaliby już najwznioślejszego z wieszczów polskich Julkiem i Juluszem. Nie wolno już dzisiaj zapominać kilku sumarycznych zdań zbywających niesłuchanie ludzkiego życia wielkich samotników.

Przedwojenna naiwność przedstawienia nie wyszła na dobre sumiennej, inteligentnie pomyślanej książce p. Michała Janika. „Próba syntezy” niekoniecznie musi być zbiorowiskiem dawno wygasłych sądów, powtarzaniem dawno przebrzmiałej polemiki. Pan Michał Janik jest badaczem nazywać poważnym, aby można mu było wybaczyć systematyczne wybijanie otwartych drzwi. Książkę o Słowackim, wydaną po raz pierwszy w r. 1909, należało gruntownie przerobić i przystosować do dzisiejszego stanu badań. Analiza twórczości Słowackiego z punktu widzenia wyobraźni, uczucia i woli stanowi prawdziwy grzech psychologiczny. Słuszna i subtelna natomiast jest ocena ideologii Słowackiego pod kątem zagadnienia ostatniego stulecia. Pan Janik trafnie podkreśla bogactwo i trwałość problematów, jakie od czasu do czasu wyrzuca na powierzchnię otchłanna twórczość Słowackiego. Dwie ostatnie części pracy p. Janika („Nauka o duchu” i „Nauka o Polsce”) są doskonałym popularnym wyjaśnieniem mistycznej nauki Słowackiego. Klucz do rozwiązania zagadki daje tu prometejska wolność ducha, zrywanie pieczęci z zaskorupiałych już

odpowiedzi na nigdy niemilkające pytania, samodzielne rozstrzygnięcie rozstrzygniętych oficjalnie prawd. Formuła wolności ducha, (która decyduje zresztą o źródle wszelkich natchnień mistycznych) nie wystarcza wprawdzie do pełnego wyjaśnienia zawilej nauki Słowackiego, — mimo to jednak można się nią posługiwać jako dobrym znakiem orientacyjnym. Pan Janik podkreśla przedewszystkiem rok Słowackiego jako „jasnowidza”, czyli wieszcz, którego wskazówki nie mogą być obojętne współczesnemu życiu narodowemu. „Był Słowacki — pisał — ulubionym poetą wszystkich naszych rewolucjonistów niepodległościowych. A i dzisiaj symbolizuje się w nim nateżona wola narodu i wiara w zwycięstwo sprawiedliwości”

Jules Słowacki 1809—1849. Par. z. „Association France-Pologne”, 1927; str. 48.

Nakładem stowarzyszenia France-Pologne ukazała się w Paryżu niewielka, ładnie wydana broszura, zawierająca słowo wstępne Antoniego Potockiego, francuski przekład „Genezis z ducha” i kilku wierszy lirycznych, życiorys Słowackiego p. r. Gabriela Sarrazina i „Pożegnanie prochów Słowackiego” Antoniego Martela. Szczególną uwagę zwraca tu wspaniały artykuł Potockiego. Słowacki, poeta, który „nigdy nie stracił nadziei”, jest dlań najwyższym przykładem stopienia się zachodniej plastyki, ładu i przedmiotowości z mitotwórczą siłą Wschodu. Przez odrzucenie interwencji jakiegokolwiek innej siły poza miłością, przez posługiwanie się idealnym ziarnem słowa, przez tworzenie dzieła poetyckiego na podobieństwo Boga, który tworzy był, — Słowacki dorównywał wielkim twórcom religij. W łańcuchu Królów-Duchów, jacy przed nim spoczęli w podziemiach Wawelu, jest on przedstawicielem realizacji ideału przez miłość — organem tego procesu miała być Polska. Solidarność wszechludzka była religią Polski przedrozbiorowej. Dzisiejsza Rzeczpospolita polska nie odziedziczyła bynajmniej od tego ideału. Słowacki „zamieszkuje duszę swego ludu i stanie się jego wola”.

Dobre i sumienne są przekłady p. Danysza.

*) Jak dowiadujemy się, powieści o Słowackim przygotowują Stanisław Baliński i Julian Wołoszynowski (przyp. red.).

ZAKŁADY DRUKARSKIE
GALEWSKI I DAU

WARSZAWA, ORDYNACKA 6

ROK ZAŁOŻENIA 1880

SPECJALNOŚĆ:

WYTWORNE WYDAWNICTWA

ILUSTRACJE

REKLAMA HANDLOWA

Kronika tygodniowa

Parszywe racje. — *Kurki towarzyskie.* — *Dwa rodzaje prawd.* — *Facet wywijający tusakiem.* — *Handel kołmi.* — *Rota.* — *Damensztajn jako Alina.* — *Byłem Gopłaną.* — *Skrobacze ryb.* — *Brzydka p. Wodziańska.* — *Upicie Wyrzykowskiego.* — *Horyca chwyta za gardło.* — *Drobna autorka.* — *Nic nie pomoże.*

Niemal wszyscy nudnych od tych, którzy mają rację. Nie mówię tu o wielkiej, rewelacyjnej racji — mówię o małych, nędznych racykach, o t. zw. pewniakach w rozmowie. W małej skali będzie to słońce między narodowy, który z przymusem człowieka myślącego oznajmił wam, że „woli Paryż od Berlina”, albo „że cokolwiekby się mówiło o Niemcach, jest to naród gospodarny”. Gdy ma na ustach taką parszywą, wyświechtaną prawdę, taką monetę mającą kurs w jego mizernym towarzystwie — czuje się z tem dobrze, czuje się człowiekiem kulturalnym, a jeśli uda mu się wkłócić kilkanaście podobnych frazesów, wieczorem przed zaśnięciem myśli z dumą o dniu nie spędzonym na marne. Są to takie kurki (albo jeszcze gorzej) towarzyskie, które w zależności od tego gdzie wiatr wieje wykręcają się regularnie.

W kategoriach wyższych ta banalność myśli i sądów odbija się fatalnie na poziomie zarówno naszej literatury jak i krytyki. Gdybyśmy sięgnęli do źródeł tej banalności myślowej, znaleźlibyśmy z pewnością wygodę i lek przed atmosferą walki. Znam ludzi, których całe życie i praca jest w sprzeczności z tem co głoszą obecnie, albo też tolerują najzupełniej sobie wrogie sądy, nie chcąc bronić spraw o posmak niepopularnym.

Największym, najpotężniejszym rozsądnikiem tej banalności myślenia jest (zwłaszcza w literaturze) szkoła. Ponieważ teź racje właśnie odbywają się egzaminu, pragnę również uczniom jak nauczycielom powiedzieć co o tem myślę. Przedewszystkiem istnieją dwie prawdy o każdym zjawisku literackim, ba — nawet historycznym. Jedną — to namaszczona, pompacyjna prawda z podręczników, druga — ta szepczana na ucho prawda tajemniczości. Pisze się o jakiejś damie historycznej, t. zw. królowej, że była czcigodną matką, a na ucho się szepcze, że, jak to mówi lud, „chodzila za kobitę”. Jakis tam żódek według podręczników historii dokonał niesłychanych czynów, a krązą pogłoski, że był to interesowny łobuz, walczący niechętnie i tylko za pieniądze. Nie jest wykluczone (do wszystkiego dojść może), iż młodzież za lat kilkadziesiąt pisać będzie ćwiczenia na temat „Farysa” Miłszewskiego. Szperając w źródłach odnajdą feljetyony Grzymały i powtórzą za nim, że boski romantyczny emir Rzewuski bił się pod Napoleonem i cudów rycerskich dokonywał na Wschodzie. Naprawdę zaś emir Rzewuski bił się przeciw Napoleonowi w armji pruskiej, a na Wschodzie handlował kołmi (straszna to branża) i dorobił się grubego grosza.

Nie tylko to jest podłe, że się w szkołach dzieciom przeważnie mówi kłamstwami i komunałami, ale że się im odbiera chęć i zamiłowanie do literatury. Prowadzą do tego najróżniejsze sposoby. Zaczyna się od uczenia na pamięć bardzo słabego wierszyka Konopnickiej p. t. „Rota”. Dzieci wychowane na Podolu lub Wołyniu, które poza nauczycielem Niemcem (albo matką Niemką), Niemca nie widziały, wyją z zapołem: „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz”. Jest to, jak już powiedział Boy, dość minimalne jako program polityczny, i niedość porywające jako poezja. Potem każą się dzieciom uczyć na pamięć długich i skomplikowanych wierszy, których nie rozumieją, bo i autorzy nie zawsze je rozumie. Nowatorstwo polega dziś na rozdzielaniu na głosy i zbiorowem odczytywaniu w klasie utworów dramatycznych. Pamiętam, jak w klasie trzeciej czytaliśmy w ten sposób „Balladynę”. Alina była kolegą Damensztajn, żyd o bardzo jak na małego chłopca grubym organie głosu, Balladyna — starszy już jegomość, czwarty rok siedzący w trzeciej klasie (w czwartej zato siedział tylko trzy lata), Gopłana zaś byłam ja. Nie lubię od tego czasu tej sztuki. Wogóle zniechęciłem wszystko co jest wierszowane, z najwyższą za to roz-

koszą czytawalem Gastona Leroux i Maurice'a Leblanc.

Sądę, iż gdyby zadawano czwartoklasistom ćwiczenia na temat roli kobiet w „Klubie rudowłosej” Conan Doyle'a, a zabraniano czytać wierszy, osiągnięto by pożądaną efekt zainteresowania młodzieży poezją. Czyż bowiem szkoła w najlepszym razie daje coś więcej prócz zainteresowania? Owe ściśle dane, daty i teksty — wszystko to wietrzeje z głów niepowrotnie. Męczą teraz właśnie w tych miesiącach letnich tysiące młodych, ładnych i zgrabnych panienek mistyką Słowackiego lub Towiańskiego — i pocóż? Przecież te osobki wydają zamykać i za lat parę jako grube Żydówki, albo nawet i nie Żydówki, znać będą tylko jedną wielką prawdę, że rybę trzeba nożem skrobać żywą, bo ma lepszy smak, i że kapelusze kupuje się w firmie „Kacew”. Uczniacy, nie dajcie się nabierać, bronić się jak umiecie, ściągajcie i podpowiadajcie sobie bez ceremonji, nie dla waszego bowiem pozycyjkę każą wam się uczyć, że Słowacki kochał się w jakiejś p. Wodziańskiej, mimo iż pisał o niej raz, że jest bardzo brzydka, a drugi raz, że jest tylko szpetna. Jeśli belfry gimnazjalne męczą was temi banialukami, to tylko dla swojej własnej przyjemności. Lubują się oni w tych siódmych sosach po literaturze i tworzą fikcyjną naukę, parodię wszelkiej ścisłości, — historję literatury, która nie przysporzy wam nigdy prawdziwej wiedzy o człowieku, ani nie nauczy was wzruszeń, jakie dadzą wam sami pisarze i poeci bez pomocy zgrai pośredników.

Tydzień bieżący przyniósł nam właśnie taką próbkę zachłanności pośredników literackich. Pan Wyrzykowski w liście odtartym żali się, iż pp. Schiller i Horyca w długich z nim rozmowach wydobyli podstępem jemu tylko znany sens utworu Słowackiego „Samuel Zborowski” i teraz wystawia ten utwór i zagarnia sami całą sławę komentatorów. Bardzo to musi być żałośliwy i trudny kawałek — ten „Samuel Zborowski”, jeśli jeden tylko na całą Polskę p. Wyrzykowski wiedział, o co tam chodzi. Schiller z Horycą upili pewnie Wyrzykowskiego, i biedak lekkomyślnie się wygadał. A może Horyca chwycił go za gardło i siłą wyrwał tę tajemnicę? Biedny Słowacki nie przypuszczał pewnie, że jeden Wyrzykowski tylko zrozumie jego dzieło, bo czyż warto było pisać dramat, który po stu latach jeden tylko jedyny facet zrozumie?

Boję się, iż każdego z żyjących dziś poetów podobny los czeka. Dlatego proponowałbym, aby każdy poważny drukowany utwór autorzy zapoatrzały w komentarz, wyjaśniający treść i usuwający wszelkie pole do robienia figlów i kawałów. Ja sam ogłaszam przy okazji, iż w świeżo wydanej książce „O dzieciach, grafomanach

i warjatach” („Biblioteka Groszowa”, nr. 187 — dostać wszędzie!) nie zatraciłem w niczem o mistyce, religiję ani uniwersalizm. Piszę to, choć wiem, że to nie pomoże. Jakis przyszyły Horyca wydłubił podstępem od przyszłego Wyrzykowskiego prawdziwy ale może nieznan sens i sekret tej książki.

Antoni Stonimski.

SKAMANDER

Ukazał się nr. 49 (za lipiec 1927)

Treść zeszytu:

... — Leopold Staff. Oko w oko. Poemat — Antoni Stonimski. Święty Franciszek z Assyżu. Aksamit trawera — Józef Wittlin. W mroku, Ghetto. Ślepiec w sadzie. Lipowa łyżka — Włodzimierz Słobodnik. Pozdrowienie wieczorne. Poeta Kisai. Noc w Azji. Niebo. Kontrasty — Stanisław Baliński. Ręka przyjaciela. Rue Bagneux — Irena Tuwim. Moja mistrzyni — Mieczysław Braun. Odwiedziny miejsc ulubionych w młodości — Jarosław Iwaszkiewicz. Dzień i noc — Mieczysław Jastrun. Rudy półmiesiąc — Marja Kuncewiczowa. Dzieje grzechu — Jerzy Paczkowski. Jeździec — Jerzy Liebert. Zona poety — Kazimierz Wierzyński. Wóz — Konstanty Gałczyński.

Okładka Janiny Konarskiej. Administracja: Boduena 1 m. 2, tel. 223-04, codziennie od 9 — 18. Konto czekowe 8.515.

Przenumerata z przesyłką w stosunku zł. 8.— kwartalnie, łącznie z „Wiadomościami Literackimi” w stosunku zł. 15.— kwartalnie, zeszyt pojedynczy zł. 3.—, dla prenumeratorów „Wiadomości” zł. 2.25.

Największa hurtownia księgarska

W POLSCE

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ

Sp. Akc.

WARSZAWA, Plac Trzech Krzyży 8

Przyjmuje na skład główny wszelkie wydawnictwa polskie księgarskie, rządowe i prywatne i rozsyła je w komis do księgarzy w całej Polsce.

WYDAJE PISMO REKLAMOWE

KURJER KSIĘGARSKI

JULJUSZ SŁOWACKI

W chwili kiedy prochy wielkiego poety wracają do Ojczyzny, aby spocząć w podziemiach katedry wawelskiej, podpisana firma wydawnicza, pragnąc umożliwić szerszym kołom czytelników nabycie największego Jego dzieła i jednego z największych arcydzieł literatury świata, przygotowała **drugie, tańsze wydanie**

KRÓLA DUCHA

w opracowaniu krytycznym i z komentarzem J. GW. PAWLIKOWSKIEGO. Wydanie to obejmuje dwa wielkie tomy formatu wielkiej ósemki o przeszło 1100 stronicach druku. Tom I zawiera wszystkie znane dotąd teksty, tekst główny, po raz pierwszy krytycznie zestawiony, i tak charakterystyczne dla tego dzieła niezliczone prawie redakcje poboczne i odmiany, również po raz pierwszy krytycznie zrezytuowane i systematycznie ułożone, a mieszczące w sobie nieprzebrane bogactwo pomysłów i piękności. Tom II, oprócz ważnego dla polonisty i filologa wstępu krytycznego, ukazującego metodę jednej z najtrudniejszych prac wydawniczych, jakie nastrocza literatura polska, mieści niezbędny dla każdego czytelnika wyczerpujący komentarz, pozwalający zrozumieć to mistyczne i pełne tajemnic dzieło.

Cena tańszego wydania zł. 65.— 30% i 13/12. Przy tej sposobności polecamy pierwsze wydanie „KRÓLA DUCHA”, luksusowe, na papierze bezdrzewnym, w najwytowniejszym wykonaniu typograficznym, o egzemplarzach numerowanych.

Cena brosz. egzemplarza zł. 95.— oprawnego zł. 110.—. Mamy również do nabycia okładki oddzielnie, w cenie zł. 10.— za parę.

H. ALTENBERG

księgarnia wydawnicza
we Lwowie, ul. Piłsudskiego 1. 16

DOM HANDLOWY

M. GLIKSBERG

HURTOWNIA PAPIERU

KANTOR I SKŁADY:

Warszawa, Długa nr. 46. Telefony: 96-67 i 251-82

PRZEDSTAWICIELSTWA:

Tow. Akc. Fabr. Farb Drukarskich

Ligniny fabryki

„DRUBIN“

„SACRAU“

w Kopenhadze

w Wrocławiu

Towarzystwo Wydawnicze w Warszawie
Księgarnia: Mazowiecka 12,
tel. 244-14,
poleca następujące swoje
wydawnictwa

Utwory Juliusza Słowackiego

Genezis z ducha

Wydanie w 150 egzempl. na ręcznie
czerpanym papierze mirkowskim, ozdobione 10 autolitografiami Franciszka
Siedleckiego zł. 75.—

La Genèse

Identyczne wydanie w przekładzie
francuskim Stanisława Dunin-Karwic-
kiego.
W 150 egz. zł. 75.—

Genezis z ducha

W serii „Panteon” wydanie minia-
turowe zł. 1.—

Pisma mistyczne

W wyborze i opracowaniu Stanis-
ława Wyrzykowskiego (z serii pierw-
szej „Pod Znakami Poetów”)
w opr. płóc. zł. 6.—

Utwory liryczne

Wybór i układ Stanisława Wyr-
zkowskiego (z serii pierwszej „Pod Zna-
kiem Poetów”) na wyczerpaniu w opr.
płóc. zł. 5.—

OPUŚCIŁ PRASĘ

JULJUSZA SŁOWACKIEGO

„Wybór utworów dla
młodzieży“

(w bibliotece „Dobre Książki dla Mło-
dzieży”) . . . zł. 1.—, w kart. zł. 1.50

NADTO POLECAMY

PORTRET

JULJUSZA SŁOWACKIEGO,

wykonany w heliografurze podług
oryginału Mordasewicza. Format 37/50
cent. zł. 5.—

Wydawnictwa Towarzystwa Wydawniczego
w Warszawie, Mazowiecka 12, tel. 244-14

Poznajmy największego poe-
tę
współczesnej Rosji!

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI

WYBÓR POEZYJ

pod redakcją
ANATOLA STERNA

z wstępem Majakowskiego
do polskiego czytelnika

Tłumaczyli:
BRONIEWSKI, JASIENSKI,
SŁOBODNIK, SŁONIMSKI,
STERN, TUWIM, WANDURSKI

Nakładem Księgarni „Książka“

Ukazał się z druku nr. 6
miesięcznika

„Akwarjum i Terrarium“

Warszawa, Bednarska 9,
tel. 216-54



KLISZE
CYNKOGRAFICZNE
WYKONYWA
DZIAŁ
FOTOCHEMIGRAFICZNY
FIRMY
LITOGRAFIA ARTYSTYCZNA
W. GŁOWCZEWSKI
WARSZAWA TEL. 35-70 CHMIELNA 18

PRENUMERATA z przesyłką zł. 9.— kwartalnie, zagrajając 2 dol. — OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości 1 mm. szerokości 1 szpalty 30 groszy za tekstem; 50 groszy w tekście. Kolumna posiada 6 szpalt.

Odbito w drukarni „Rola” J. Buriana, Warszawa, Mazowiecka 11

REDAKCJA: Żłota nr. 8 m. 5, tel. 132-82, poniedziałki, środy i piątki od godz. 16—17. ADMINISTRACJA: Boduena 1, m. 2, tel. 223-04, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9—18, w sobotę od godz. 9—13. Konto pocztowe nr. 8515.

Redaktor: MIECYSŁAW GRYZDEWSKI
Wydawcy: ANTONI BORMAN i M. GRYZDEWSKI